



ODCZŁOSY

POLSKI TYDZIEŃ NAD CISA — Jerzy Wawrzak ► FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA ► CZYSTE NIEBO — Władysław Rymkiewicz ► WIERZYE — Roman Gorzelski
 ► W 24 GODZINY DO KOŁA ŚWIATA — Tadeusz Szczepański ► ŚRODOWISKA TWÓRCZE — Jerzy Wawrzak ► BYŁA GODZINA ZERO TRZYDZIEŚCI — Jerzy Czech
 ► POLSKIE MOTYWY — Lektor ► SIŁA CZASU — Marcin Rodak ► POMYSŁY KAZIMIERZA BRANDYSA — Jerzy Rzymowski ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ►
 RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI



POLSKI TYDZIEŃ NAD CISĄ

Czytaj na str. 5

ANDRZEJ BLAJER

TAJNA HISTORIA KONCERNU (V)

CHILIJSKA ROZGRYWKA

HAROLD SYDNEY GENEEN, 65-letni prezes ITT — dla jednych jest „Michałem Aniołem nowoczesnego zarządzania”, dla innych znów — uosobieniem bezwzględności, pozbawionym skrupułów bossem, dla którego zysk nie ma barier nie do sforsowania, nawet gdyby przy tym trzeba było deptać prawo. Geneen w ciągu 15 lat kierowania konglomeratem ITT wydzignął go z 52 miejsca na liście największych przedsiębiorstw świata — na 11 miejsce.

Urodził się w 1910 roku w Bournemouth w Wielkiej Brytanii. Gdy miał rok, jego rodzice — Rosjanie i Angielka — wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Zaczął jako księgowy i po ponad 20 lat przepracował w wydziałach rachunkowości różnych firm amerykańskich. Dopiero w wieku 46 lat udało mu się w koncernie Raytheon wydrzeć do szczytów kierownictwa i dać się poznać jako zdolny organizator.

Gdy Geneen obejmował w 1959 roku kierownictwo konglomeratu, denerwował go fakt, że 82 proc. obrotów firmy opadało na zagranicę, zaś tylko 18 proc. — na Amerykę. Postanowił radykalnie zmienić te proporcje. Dla ITT osłaza 60 proc. swych zysków w Ameryce, a tylko 40 proc. za granicą. Aby to osiągnąć, musiał kupować wciąż nowe firmy.

Początkowo nabywał jedno przedsiębiorstwo za drugim, płacąc za nie akcjami ITT, których kursy wzrastały faszcz w latach 60-tych. Lecz bessa na Wall Street w końcu tych lat spowodowała, iż spadły kursy akcji wielu koncernów mieszaninych. Wówczas Harold Geneen zaczął się pilnie rozglądać za firmą ubezpieczeniową, która miałaby stać się doniosłą premią, gwarantującą mu planowane, których potrzebował dla dalszej ekspansji koncernu. Wybór jego padł na Hartford Fire Insu-

rance Company. Nie przejął się zbyt ostrożnie, tak jak pod jego adresem skierował ówczesny szef wydziału anty-trustowego w ministerstwie sprawiedliwości USA, Richard McLaren. Geneen miał bowiem w ręku mocną kartę — 400.000 dolarów na sfinansowanie zbliżającego się właśnie (lipiec 1971) zjazdu Partii Republikańskiej, 31 lipca 1971 roku McLaren, niestrudzenie walczący z trzema, poinformował opinie publiczną, że ministerstwo sprawiedliwości doszło do porozumienia z ITT na drodze porozumienia. W rezultacie tej umowy, zezwolono ITT na zatrzymanie towarzystwa Hartford Fire, w zamian zaś koncern zobowiązał się sprzedać sześć innych firm. Dodatkowy warunek przewidywał, że ITT nie nabydzie w ciągu 10 lat żadnego przedsiębiorstwa amerykańskiego, którego kapitał zakładowy przekracza 100 milionów dolarów.

Zakaz przejmowania w okresie 10 lat większych przedsiębiorstw amerykańskich niewiele przeszkadzał Geneenowi, gdyż i na to miał sposób: zamiast dużych firm, wykupował mniejsze. Tym sposobem w ciągu zaledwie 10 miesięcy po zawarciu umowy, ITT nabył 20 firm amerykańskich i 12 zagranicznych.

W styczniu 1968 roku Geneen musiał jednakże zezwolić na plany przyłącze-

nia do swego przedsiębiorstwa olbrzymiej sieci radio-telewizyjnej American Broadcasting Companies (ABC).

Była to pierwsza wielka porażka Geneena. Aby na przyszłość uniknąć podobnych sytuacji, postanowił, że sam intensywniej zajmie się kierowaniem i polityką koncernu. Ale też od około dwóch lat Geneen i jego koncern znajdowali się pod stałym ostrzałem Cielu w tym związku prasa ujawniając wciąż nowe afery, związane z firmą i jej bossem.

Amerkański dziennikarz z „The New York Times”, Jack Anderson, specjalizujący się w wykręcaniu różnych afer (m.in. opublikowanie słynnych „Pentagon Papers” Daniela Ellsberga w 1971 roku) — ujawnił w 1972 roku na łamach dziennika, jak ITT wspólnie z CIA w 1970 r. zawiązał spisek zmierzający do obalenia prezydenta Chile, Salvadora Allende. Według enuncjacji Andersona Harold Geneen ofiarował CIA na ten cel milion dolarów.

Początkowo mało kto wierzył w te oskarżenia, wysuniete pod adresem ITT, gdyż brzmiały one wprost niewiarygodnie. Dopiero w marcu ub. roku komisja dochodząca do Senatu USA ujawniła prawdę o aferze chilijskiej. Przesłuchany przez tę komisję Harold Geneen przyznał wobec senatorów, że faktycznie zaofiarował CIA milion dolarów na planowaną interwencję w Chile. Dodał jednak, że nie dostarczył w tej ofercie niczego niewłaściwego.

Przez dziesięciolecie ITT traktował Chile — tak jak wszystkie te kraje, w których działał — jako pewnego rodzaju własność firmy. Dopóki rządy tych krajów chroniły małe koncerny, mógł być pewnie tego poparcia. Z chwilą jednak, gdy tylko rząd któregoś z owych państw usiłował poddać ITT ścisłej kontroli, bądź nosił się z zamiarem jego upaństwowienia, koncern stawał się zdecydowanie wrogiem takiego rządu.

Rolla, jaka Chile odgrywała w światowej sieci ITT, była zawsze szczególnego rodzaju. Chile było bowiem główną oświą koncernu w Ameryce Południowej. Chińska spółka telefoniczna kupiła faszcz w 1939 roku od Anglików założyciel ITT, pułkownik Sosthenes Behn. Koncern zawarł wówczas z rządem chilijskim umowę licencyjną na 50 lat. W umowie tej znajdowała się zdumiewająca klauzula: „Wszystkie zyski uzyskane przez ITT poza granicami Chile, Bank Centralny tego

Dalszy ciąg na str. 4

TADEUSZ PAPIER

W CIENIU STAREJ ARCHITEKTURY

Dla współczesnego turysty Łowicz to przede wszystkim miasto zabytków architektury i pamiątek historycznych. A także stolica folkloru ludowego Księżaków, znanego w całej Polsce dzięki Reymontowi, „Mazowszu” i żywej wciąż tradycji. Turysta chętnie zatrzyma się przy wyniosłej, barokowej kolegiacie, zachwyli się starymi kamieniczkami rozmieszczonymi wokół dzisiejszego Rynku Kościuszkiego, z których najstarsze pochodzą z końca XVI wieku; na stronie południowej Rynku zatrzyma się przy renesansowej kamieniczce, odczyta metryki innych domów, które pochodzą z XVII, XVIII i XIX wieku. Zabytkowe kamieniczki zachowały się również na dawnym Nowym Rynku, dzisiejszym Rynku Kilińskiego.

Turysta, którego urzeka dawna architektura, znajdzie w Łowiczu doskonały teren dla studiów. Odnajdzie zabytki gotyckie, renesansu, baroku, budowle pokazujące styl klasycystyczny, a nawet ruiny starego zamku, które stoją nad brzegiem Bzury na zachód od miasta. Zachowały się mury obronne, ślady fosy oraz fundamenty gotyckiego zamku z czasów Kazimierza Wielkiego. Oto Łowicz historyczny, a jednocześnie współczesny, bo na szczycie owe zabytki ocalały, są chronione, mieszczą się w nich szkoły lub instytucje służące kulturze. Ale to miasto, któremu barwę nadają stare budowle, otoczone jest w promieniu wielu kilometrów wieńcem innych zabytków architektury, poczynając od Arkadii i Nieborowa, a na Walewicach, Kiernozli, Domaniewiczach, Głownie i Makolichach kończąc. Łowicz, miasto zabytków, na ulicach którego pojawiają się ludzie ze wsi (i z miasta także), ubrani w kolorowe stroje ludowe, to chyba najbardziej popularna pociągówka miasta. Urzeka to i pociąga turystów, ale przecież nie ta historia,

zapisana w starych murach i kronikach, jakkolwiek związana ze świetnymi nazwiskami i wydarzeniami, towarzyszy wyłącznie dzisiejszemu krajobrazowi miasta. Współczesny Łowicz ma także inne tradycje, które odkrywają jego inne oblicze, dotychczas niezbyt jeszcze dokładnie poznane. Jest to miasto, które zapisało swoje karty w walkach o niepodległość. Mieszkańcy Łowicza brali udział w powstaniach listopadowym i styczniowym. Młodzież Łowickiej Szkoły Realnej demonstrowała w 1905 roku. Wśród uczestników strajku szkolnego kroniki notują nazwisko dwunastoletniego Stefana Starzyńskiego, późniejszego prezydenta Warszawy, którego imię związane jest z wrześniem 1939 roku. W okresie międzywojennym na terenie miasta i okolic działała KPP. Wzjęcie w Łowiczu pamięta wielu komunistów i ludowców, którzy walczyli o sprawiedliwość społeczną. W czasie okupacji w Łowiczu i Łowickim

Dalszy ciąg na str. 6

JAN BĄBIŃSKI

MILIONERZY

Poradzono mi w Grocholicach bym tych pierwszych milionerów odszukał w Rogowcu za Widawką.

Więc jadę drogą wąską, piaszczystą wyłożoną koleinami po chłopskich wozach, wzdłuż lasu, który stoi cichy i posępny zwarta ścianą aż po ten najdalszy horyzont. Ziemia wokół martwa, pusta, powiedziałbym na polu dzikie. Zewsząd bije ów szczególny wyraz pustki i zaniedbania. Moczary, torfowiska, strzępy zagajników, niskie sosnowe bory, spłachetki lichutkich grunty ornych, powpychanych w sam środek młodziaków, znów ugory i bezlitosne dla rolnika sinawe piaschy. Wiadomo, siad na piasku, albo piasek liczyć to na jedno wychodzi. Trud daremny. Czy być może aby na tych beznaczejnych piaskach żyli milionerzy?

Co do milionerów to znalazłem ich kilku. Jednego to nawet znalazłem do brzo. Polapali te miliony fuksem w tobołotki. Czy dało im to szczęście? Wszyscy oni spoglądali na mnie, nie wiem dlaczego społe i ba. Farbiarz, którego znalazłem dość dobrze to nawet

spojrzał na mnie z taką wściekłością jakbym to ja wyrządził mu straszną jakąś krzywdę. Jakbym to ja dołożył do tego ręki, że mu grozi rozpiętną się między palcami. Pieniądzy już nie było. Zostali dłużnicy.

Ale z nich to już nawet przy pomocy hydraulicznej prasy trudno by było niezmiernie wycisnąć chociażby marną złotówkę. Farbiarz splukał się do nitki. W końcu huknął, żeby i sąsiedzi go usłyszeli: że co miał to miał i nikomu nie do tego...

Jadę do milionera w Rogowcu. Po drodze mijam domki na zagorach. Jeden murowaniec, drugi drewniak, pod słomą, trzeci to już starych sześć stuletni, stawiany „na żrąb” z grubo ociosanych belek. Bieda wyziera tu z wielu kątów choć nie ze wszystkich. Przychodzi mi na myśl rozmowa z naczelnikiem gminy w Kleszczowie, w połowie drogi do Rogowca.

— Ziemia orne? — Naczelnik pokiwiał ze smutkiem głową. — To truche za duże słowa. Jakże to ziemia. To

Dalszy ciąg na str. 7

— **TEGOROCZNE UROCZYSTOŚCI MORZA** odbyły się w Kołobrzegu.

— Jak zwykle w czerwcu z okazji Dni Morza, cała prasa wykazuje niezwykle zainteresowanie sprawami naszego wybrzeża. Interesujemy się morzem również i dlatego, że już począwszy od lipca rusza wielki pochód narodu z innych rejonów kraju nad polski Bałtyk. Ale morze to nie tylko plaże, kąpiele i zabawy w nadbałtyckich kurortach, to również ważny dział gospodarki narodowej.

— Dobiega końca budowa niektórych urządzeń **Portu Północnego**.

— Rozbudowuje się zespół portowy **Szczecin — Świnoujście**.

sele. Obecnie w zespole tym przeładowuje się około 20 mln. ton, a przygotowuje się pla-

W **Świnoujściu** rozbudowuje się bazę węglową przy Nadbrzeżu Górników, gdzie obec-

gdzie w ciągu roku można będzie przeładować 5 mln ton. Po zakończeniu tych prac Świnoujście stanie się największym portem węglowym kraju.

Trwają też inne prace modernizacyjne, buduje się nowe nadbrzeża i instaluje się nowe urządzenia. Między innymi **Szczecin** otrzyma nowoczesną bazę wyładunku drewna oraz bazę kontenerową.

— W planach rozbudowy polskiego wybrzeża swoje miejsce zajmuje też **Kołobrzeg**. Powstanie tu wielki kompleks uzdrowiskowy, który zajmie około 100 ha wybrzeża w okolicach Kołobrzegu.

NOTY i OPINIE

ny takiej przebudowy obu portów, aby mogły one przyjąć przeszło 40 mln. ton ładunków, blisko tyle, ile obecnie przeładowują wszystkie polskie porty.

nie przeładowuje się około 3,3 mln. ton węgla rocznie, a będzie się przeładowywać 4 mln. ton. Jednocześnie wybuduje się drugą bazę przeładunku węgla,

KRONIKA PLASTYCZNA

Na IV Międzynarodowym Biennale Grafiki w Bradford wyróżniony nagrodą Oxford Gallery został łódzki artysta plastyk, Andrzej Nawrot (ur. 1938 r.) absolwent PWSSP w Łodzi, dyplom w 1964 roku, a obecnie adiunkt tejże uczelni w Katedrze Ubiorku. Nagrodę Oxford Gallery Andrzej Nawrot otrzymał za grafikę z cyklu „Reportaż z pewnego zagony”, wykonane metalową techniką mieszaną.

UWAGA!

PODAJĘ KOLORY FLAGI POLSKIEJ:

- a) BIAŁY
- b) CZERWONY

J. TRELIŃSKI — GALERIA „BOX140”

Andrzej Nawrot brał udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych (m.in. w wystawie Okręgu Łódzkiego w Lipsku — 1971 r., w IV Międzynarodowym Triennale Grafiki Kolorowej w Szwajcarii — 1972 r., w wystawie współczesnej grafiki polskiej w Holandii — 1973 r., w ekspozycji polskiej grafiki w Sztokholmie — 1972 r.). Otrzymał także dwa medale (w 1969 r. i w 1971 r.) za grafikę na wystawach okręgowych oraz trzecią (w 1968 r.), i drugą (w 1973 r.), nagrodę na ogólnopolskich konkursach na grafikę warsztatową w Łodzi.

Zestawowi polskich plakatów filmowych, którego pokaz odbył się z okazji festiwalu w Cannes, przyznano, biorąc pod uwagę jego wysoki poziom artystyczny, Grand Prix. Największym uznaniem cieszył się plakat Jakuba Erola (Łódź) do filmu „Andriej Rublow”.

21 czerwca otwarta została w Olsztynie w salach Planetarium duża wystawa Marianny i Wacława Kondków. Ekspozycja obejmuje około 250 obrazów, litografii i rysunków i cieszy się ogromnym zainteresowaniem.

Wśród łódzkich artystów znajduje się kilkunastu twórców, zwłaszcza z młodego i średniego pokolenia, uprawiających sztukę konceptualną. Poniżej reproduujemy przykład ich działalności!

PROGRES

Tworzę lepiej od siebie

I create better than myself

Je crée mieux que moi même

Ich kreiere besser als ich bin

Mis obras son mejores que yo mismo

Tadeusz Plechura

Pomijając wartości artystyczne owych „dzieł sztuki”, jedne świadczą o niewatpliwych uzdolnieniach lingwistycznych co niektórych konceptualistów, inne zaś o przemożnej potrzebie zaczynania wszystkiego od początku (Tryliński): to jest łyżka; to jest miska; to jest nos...

PROSZĘ O GŁOS!

PRZEDWCZESNY PORANEK

Samuel Leckett musiał walczyć przez trzy lata o wystawienie swojej głośnej sztuki „Czekając na Godota” w peryferyjnym teatryku paryskim „Babylone”. Początek lat pięćdziesiątych nie był bowiem łaskawy dla awangardy. Tak samo nad Sekwaną jak i nad Wisłą.

Ale awangarda tamtych lat to już dziś tracący myśłą klasycyzm. Czekanie, choćby w nieskończoność, nie jest żadną propozycją dla współczesnego widza, który przywykł do wystawiania w kolejkach i szuka w teatrze rozrywki, nie zaś refleksów pospolitego życia. Idąc za głosem postępu japoński awangardowy teatr podczas gościnnych występów w Warszawie wydelegował na widownię swego aktora, który rozerwał na strzępy odzież spragnionej silnych przeżyć warszawianki. Tak pojęta rozrywka nie spodobała się dziewczynie i teatr, który wypożyczył Japończykom salę, musiał zapłacić odszkodowanie za zniszczoną odzież. Pozostaje niewyjaśnione do tej pory, czy darcie odzieży jest szczytem awangardy, czy też należałoby „osunąć się o krok dalej”. I chociaż krytycy przestrzegają, że nie ma nic gorszego dla sztuki niż awangarda oswojona, destrukcyjny proces przebiega bez zakłóceń. Dziś każdy szanujący się teatr amatorski sięga po repertuar awangardowy wychodząc z założenia, że repertuar sprawdzony przystoi podupadającym teatrom profesjonalnym i konkurując z nimi telewizji.

Mamy i my w Łodzi swoją awangardę. „Teatr Stu Krzesiel” prowadzony przez Krystynę Henz pod auspicjami Międzyzakładowego Domu Kultury Włókniarzy. Po granej dwadzieścia razy „Szkole błaznów” Gelderode’a rodzima awangarda sięgnęła teraz po sztukę Edwarda Bonda „Wczesny poranek”. Jej akcja toczy się w czasach wiktoriańskich, które każdemu

Anglikowi kojarzą się z rozwojem Imperium Brytyjskiego stabilnością funta i prowincjami zamorskimi. Pamiętam to z podręcznika historii, bo z samego spektaklu zapamiętałem tylko przebiegające brytyjskiego lwa (scenografia Mariusza Kowalskiego) i królową Wiktorie, cesarzową Indii ubraną w przejryste rajtuzy. Na tej samej zasadzie dedukcji uprzytomniałem sobie, że miotające się po scenie postaci muszą należeć do partii wigów albo torysów.

Spektakl zaczyna się montażem popularnych piosenek i wierszy, ale widz orientuje się doskonale, że to tylko fałszywa introdukcja, bo otrzymał popielniczkę, na którą nalepiona jest kartka:

„Bijcie w dzwony, aby zagnać stare, a witajcie nowe!!!

Bijcie w dzwony, aby zagnać fałsz!!!”

Nie mając pod ręką dzwonu, posłuszny wszakże imperatywowi, zadzwoniłem łyżeczką o cup of coffee, czym zwróciłem na siebie nie tylko uwagę widowni, ale także zespołu aktorskiego. Zaraz też rozległ się kłopotliwy charkot chłopaka ubranego w trykot. To warczenie nie było jednak adresowane do mnie, był to po prostu przewidziany scenariuszem pomruk brytyjskiego lwa. W chwili potem dopadł mnie pucybut i wyzywał szmatką moje przybrudzone pantofle. Dałem mu napiwek, choć wahał się czy jako amatorowi wypada mu przyjąć.

Już musiał pisać swego „Człowieka bez właściwości” i osadzać akcję powieści w Wiedniu sprzed pierwszej wojny światowej nasycał pejzaż miasta samochodami, chociaż auto należało wówczas do rzadkości. Krystyna Henz posunęła się dalej. Wprowadziła na scenę wyposażonego w fletz i magnetofon reportera, który przeprowadził ze mną krótki wywiad na temat spektaklu. Powiedziałem tam coś, co mówi się zazwyczaj do podsunętego mikrofonu, jakas zdawkowa pochwała i spektakl potoczył się dalej. Potoczył nie oznacza tutaj konwencjonalnego zwrotu, gdyż aktorzy stawali się i zsuwali ze schodów, było w tam-tamy, zaśpiewano parodię sonaty h-moll Chopina, rozstrzelano kogoś w maseczkę gipsową na ustach, zabierali głos politycy z partii wigów i torysów, na koniec zaś pozostały na scenie kości; sądząc z rozmiarów była to szczęka brytyjskiego lwa.

Czekałem na dyskusję, ale mimo rzęsistych oklasków, jakos nikt nie kwapił się z zabraniem głosu. Dopiero redaktor Hutek przerwał te ciche stwierdzenia, że zamierza nagrać fragmenty spektaklu dla łódzkiego radia. Przy okazji wyjaśnił, że poprzedniego dnia spektakl zaszczylił swoją obecnością dyrektor Perz z Teatru Ziemi Łódzkiej. I że mu się także wszystko podobało.

Wychodząc z Pałacyku nabrałem przekonania, że Łódź nie jest prowincją. Świadomość posiadania własnej awangardy jest jakaś krępująca. Był późny wieczór, lato i nigdzie nie mogłem znaleźć taksówki. A mimo to zdawało mi się, że to poranek. Przedwcześnie poranek.

JERZY DARNAL

KOMUNIKACYJNA REFORMA

O konieczności zasadniczej zmiany układu komunikacyjnego w Śródmieściu mówiło się już od dawna. Trzy lata trwały badania natężenia ruchu i konsultacje ze specjalistami. Nie było natomiast szerokiej społecznej dyskusji nad założeniami nowego projektu. Jednak i bez badań oraz opinii fachowców nietrudno dostrzec, iż stan jest alarmujący. Korki powstające w godzinach szczytu były wynikiem organizacji ruchu w mieście, która nie miała charakteru kompleksowego, a rodziła się z potrzeb chwili. Oznakowanie ulic pozostawiało też wiele do życzenia.

W tej sytuacji Wydział Komunikacji Urzędu Miasta na podstawie materiałów Biura Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi, Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, doświadczeń innych miast w kraju, a także uwzględniając perspektywy unowocześnienia układu drogowego i prognozy rozwoju motoryzacji, opracował nowe zasady organizacji ruchu w Śródmieściu. Zostały one zatwierdzone przez Prezydenta Miasta Łodzi.

Obowiązywać będą na obszarze ponad 1100 ha ograniczonym ulicami: Ogrodowej — Północnej, Kopcińskiego — Promińskiego, Przybyszewskiego, al. Politechniki i Żelazowskiego. Nową organizację wprowadza się etapami, począwszy od 1 lipca 1974 r.

Jednym z zasadniczych posunięć jest wydzielenie ulic tworzących ciąg komunikacyjny i nadanie im na całej długości pierwszeństwa przejazdu. Mają one usprawnić przejazd przez śródmieście zarówno ze wschodu na zachód jak i z południa na północ. Dotyczy to ulic: Żródlowej — Północnej — Ogrodowej, Rewolucji 1905 r. — Próżniaka — 1 Maja, Jaraża — Więckowskiego, Narutowicza — Zielona, Armii Czerwonej — Główniej — Mickiewicza, Przybyszewskiego, Uniwersyteckiej, Piotrkowskiej od Placu Niepodległości do Główniej, al. Kościuszki — Zachodniej, Zeromskiego do Zielonej oraz Przedzłaniowej.

Drugim istotnym posunięciem jest zwiększenie ilości ulic jednokierunkowych dla ograniczenia możliwości kolizji na skrzyżowaniach, a więc podniesienia stanu bezpieczeństwa ruchu, poprawienia przebiegu ulic i skrzyżowań. Na kierunku wschód-zachód, obok już istniejących — Jaraża — Więckowskiego i Traugutta — ulicami jednokierunkowymi będą A. Struga od Gdańskiej do Towarowej, Abramowskiego, 8 Marca od Kilińskiego do Sienkiewicza i Worcella.

Ruch jednostronny w kierunku z zachodu na wschód odbywać się będzie: 1 Maja — Próżniaka — Rewolucji 1905 r., 22 Lipca od Towarowej do al. Kościuszki, Karolewska — Skłodowskiej-Curie, Wigury od Sienkiewicza do Kilińskiego, Tylna i Milionowa od Piotrkowskiej do Kilińskiego.

Natomiast w kierunku północ-południe ruch jednokierunkowy będzie obowiązywać na Zakątnej, Armii Ludowej, Buczka, Wysockiej, Nowej, Siockiej, Brzozowej i Słowiańskiej, a w kierunku południe-północ — na Sosnowej, Dębowej, Grabowej, Targowej od Tylny do Fabrycznej, Wodnej, Hutara, Lipowej, Piramowicza, Wierzbowej. Jak więc widać korekty są znacznie mniejsze na tych dwu ostatnich kierunkach, a wynika to z tego, że posiadamy takie trasy jak Kopcińskiego — Promińskiego, Zachodnia — al. Kościuszki, czy al. Politechniki — Zeromskiego.

Prawdziwa rewolucja komunikacyjna nastąpi i to już od 1 lipca na Piotrkowskiej. Zostanie ona wyłączona na odcinku od ul. Główniej do Placu Wolności z ruchu tranzytowego. Wszyscy kierowcy jadący ul. Piotrkowską od Placu Niepodległości będą musieli skręcić w ul. Główną lub w ul. Mickiewicza, gdyż od tego czasu zjazd na ul. Piotrkowską będzie zakazany. Pozostawi się możliwość wjazdu w Piotrkowską z ulic poprzecznych, ale z obowiązkiem opuszczenia jej na kolejnym najbliższym skrzyżowaniu. Chodzi tu o zasadnicze odciążenie tej ulicy od ruchu tranzytowego, gdyż do tej pory bardzo wielu kierowców wybierało właśnie tę trasę na przejazd przez miasto, mimo istnienia już innych — równie wygodnych. Na całej długości Piotrkowską pozostanie wolna dla autobusów linii „57” i „C”. Wydzielono specjalne pasy dla komunikacji autobusowej i dla niej wyłącznie zarezerwowane. Na odcinku Piotrkowskiej od Mickiewicza i Główniej do Placu Niepodległości ruch będzie odbywał się bez zmian. A postój na tym odcinku Piotrkowskiej ogranicza się do 10 minut.

Dla ruchu przelotowego zamknięty zostanie także Plac Wolności, a wyjątkiem są tramwaje i autobusy MPK oraz częściowo taksówki. Na Placu Wolności pozostaje postój taksówek, a wjazd dla nich przewidziano z ulic Obrońców Stalingradu, Nowotki oraz Piotrkowskiej.

Nowa organizacja ruchu spowoduje też szereg zmian w trasach linii tramwajowych i autobusowych. W wypadku tramwajów chodzi o zmniejszenie ilości skrętów na najbardziej obciążonych skrzyżowaniach, takich jak al. Kościuszki z Zieloną i A. Struga. W praktyce zmieni się trasa siedmiu linii tramwajowych: „2”, „3”, „7”, „13”, „17-bis”, „19”, i „24”. W wypadku „3”, i „19”, zmieni się trasa dojazdu do tych samych co obecnie krawców. Natomiast tramwaj linii „2” nie będzie kursować do radiostacji, lecz prosto do Zachodniej i Limanowskiego do Aleksandrowskiej. Zastąpi go na odcinku do radiostacji tramwaj linii „13”, który z Nowego Żelazna pojedzie al. Unii, Obrońców Stalingradu, Zieloną i Narutowicza. Na dotychczasowej trasie „trzynastki” znajdzie się tramwaj linii „21”, kursujący od Bratysławskiej do Struga tak, jak dotychczas, a dalej Tuwima i Kopcińskiego. Do Zabięcia docierać będzie linia „7”, Skraça się trasa linii „17-bis”, z Przemyskiej do Placu Wolności.

Ze względu na wprowadzenie ruchu jednokierunkowego dokona się korekty linii autobusowych: „72”, „73”, „73-bis”, „74”, „76”, „77”, „83”, „F”, „G”, „J”, „K”, i nocnych 153 i 154.

Zmiany te wejdą w życie od 1 sierpnia br.

Na ulicach jednokierunkowych dozwolone będzie parkowanie tylko po jednej stronie. Dozwolone będzie też parkowanie na chodnikach o dostatecznej szerokości. Wprowadza się też specjalne pasy postojowe na niektórych ulicach, które oznaczy się linią przerywaną, „kostką”.

Operację zmiany organizacji ruchu zdecydowano się przeprowadzić w okresie urlopowym, kiedy ruch jest zmniejszony. Życie zryfkuję jej przydatność. Jedno jest pewne — trzeba jak najszybciej budować nowe trasy przelotowe i to szybciej niż wzrasta natężenie ruchu. Nie można dopuścić do tego, aby za kilka lat znów znaleźć się w martwym punkcie, bo wówczas o wiele trudniej będzie znaleźć rozwiązanie.

ADAM NONAS

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁO. DZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.



JERZY WAWRZAK

POLSKI TYDZIEŃ NAD CISĄ

Miedzy województwem łódzkim i komitatem Csongrad od lat trwa przyjazna współpraca. W tym roku, z okazji 30-lecia PRL, w dniach 7-14 odbył się „Tydzień Ziemi Łódzkiej”. Za rok rewizyta węgierskich bratanków u nas.

Z tej okazji polecałem na kilka dni do Szegedu, który jako stolica województwa stał się na ten czas kwatery liczącej polskiej „kolonii”. Oto garść spostrzeżeń i refleksji, zapisanych pośpiesznie w reporterskim notesie.

1. Od początku trzeba sobie zdawać sprawę z jednego: wszelkie porównania ilościowe zawodzą, są niepotrzebne. Pozostaje więc skala problemów, podobieństwa i odmienności struktur, temperatura reakcji na to, co jest wspólnym problemem, jak np. jakość pracy i życia, no i przede wszystkim szeroko rozumiana kultura. Zwalazcza, że Tydzień głównie jej poświęcono.

2. SZEGED. Miasto mające swą prahistorię, historię i dzień dzisiejszy. Od obozu rzymskiego do „miasta wolnych królów”, od grodu warownego do największego miasta na Węgrzech (70 tys.) w roku 1879. Miasto nad Cisz, której wody w owym okresie syczącej potęgi dostojnie zmyły je z powierzchni ziemi. (Podobnie jak po kataklizmie w Skopje w odbudowie pomagała cała Europa).

A dzisiaj? Nad tą samą Ciszą miasto 160 tysięczne, miasto nieistare i najnowsze, kolorowe i uroczne w kępcystości najróżniejszych architektury, stylów. Stolica rolniczego rejonu, ale też pod miastem planą koniny rafinerii i pełną parą pracuje kombinat chemiczny. A przede wszystkim przemysł tekstylny ze starymi tradycjami, a stąd niezbyt nowoczesny. Jak i u nas w ostatnich latach szybko zmierzniowany. Tudzież „fabryka salami”, eksportowy rarytas. Dodajmy do tego źródła gorącej wody, które leczą schorzenia reumatyczne i sercowe i ogrzewają ciepłarnie, mieszkania, całe osiedla. Słowem, na bogactwie szegedzianie (?) siedzą.

Lecz dla mnie prawdziwym fenomenem jest Szeged — naukowy! W niewielkim przecież mieście działa Uniwersytet, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Wyższa Szkoła Komunikacji i Wyższa Szkoła Przemysłu Spożywczego. Uniwersytet Szegedzki jest drugą uczelnią w kraju po uniwersytecie budapestzskim. Od wielu lat utrzymuje wszechstronną współpracę z UL.

Szeged to także miasto licznych inicjatyw kulturalnych. Corocznie organizowane są „Dni Szegedu” z udziałem międzynarodowych zespołów folklorystycznych, operowych, muzycznych. I to zupełnie oryginalne — sportowych.

3. Bariera językowa okrutna. Z naszych, język węgierski zna tylko E. Piekarski, wicedyrektor Ośrodka Kultury Polskiej w Budapeszcie i Laszlo Rakital, od kilkunastu lat obywatel Zgierza. Ale z tłumaczami, a raczej tłumaczkami w Szegedzie nie ma problemu. Coś te nasze Polki chętnie ciągną nad Dunaj i Ciszę. Pytam jedną z nich, panią Teresę Zsiros, de domo Bosak. Urodzona w Wieruszowie, studia w instytucie leśnictwa w Leningradzie. Tamże przyszły mąż Istvan. Od 1960 roku w Szegedzie, dziesięcioletni syn, praca w Okręgowym Zarządzie Lasów, wspólnie z mężem, który jest kierownikiem wydziału. Co roku na wakacjach w Polsce. Któregoś dnia prowadzi nas do muzeum, tłumaczy i jednocześnie daje dowód doskonałej znajomości historii i kultury swej przybranej ojczyzny. Podobnie zresztą jak inne polskie Węgierki.



4. Muzeum. Najpierw w gabinecie, który również mogłyby służyć za ekspozycję (stylowe meble, obrazy, rzeźby) przyjmuje nas dyrektor Otto Trogmayer, później przejmują nad nami opiekę jego zastępcy dr Gyozo Csongor. I pokazuje wszystko, łącznie z prebogatymi magazynami, w których eksponaty czekają bądź to na swoją kolejkę w ekspozycji, bądź na zainteresowanie naukowców.

Muzeum jest wojewódzkie, to znaczy ma pięć podległych filii, daży do specjalizacji, ale na razie jest tam wszystko. Z tym, że dyrektor jest archeologiem, więc dla prahistorii tej ziemi musi mieć specjalną estymę. I tak jest naprawdę — zbiory archeologiczne są nie tylko bogate, ale mają wręcz uni-



kalny charakter. To ogromna kolekcja, ponad sto tysięcy przedmiotów od najdawniejszych czasów do XV wieku. Jesteśmy zaskokowani tym bogactwem i różnorodnością: archeologia, średniowiecze, sztuka ludowa, malarstwo XIX-wieczne i współczesne, fauna i flora regionu, relikty kultury i kultury, sylwetki prekursorów literatury. Obrazy węgierskiego Matejki Mihaly Munkacsy'ego. Rodowód Madziarów obrazowo i w sprzętach kultury materialnej pokazany. Cuda, same cuda, jak by powiedział ktoś średnio egzaltowany.

5. Piętro wyżej wystawa książek Wydawnictwa Łódzkiego. Skromna, ale estetycznie opracowana. Wszystkie podstawowe działy: proza, poezja, literatura społeczno-polityczna, pamiętnikarstwo, historia i dzień dzisiejszy. W WL nie wydajemy dzieł pomnikowych, i to co mamy prezentujemy. Jest tego sporo i ładnie się wszystkie działy komponują, uzupełnione przez ekslibrisy L. Rózi, H. Plóciennika, T. Józwika, Hanny Stankiewicz.

Obok wystawy WL przygotowana przez gospodarzy niewielka ekspozycja węgierskich poloników, w tym kilka interesujących starodruków. Wiele mieliśmy wspólnych spraw i naturalnie, koleją rzeczy, znalazło to oddźwięk w literaturze.

Nb. ktoś mi wspominał przy jakiejś okazji o pisarzu nazwiskiem Koval Lorenc, autorze nieznanego u nas książki o Powstaniu Warszawskim. Warto może zwrócić uwagę na ten fakt naszym wydawcom. Dodam jeszcze, że ojciec owego Kowala nazywał się Kowalczyk.

6. TISZATAJ to wychodzący w Szegedzie, ale mający charakter periodyku centralnego, miesięcznik społeczno-kulturalny. Jakżeby tam człowieka nie po-

niosło. Dzięki pomocy dr Marli Hemmerta spędziliśmy kilka godzin na interesującej i pozytywnej rozmowie. Pozytecznej przede wszystkim, bo umówiliśmy się, co do wymiany kolumn między „Tiszatajem” a „Odgłosami”. A jakże łatwiej się bliżej poznać niż poprzez literaturę?

Oddział Związku Literatów Węgierskich w Szegedzie liczy dwanaście osób, ale pięciu z nich jest laureatami wysoko cenionej w WRL nagrody literackiej im. Jozsefa Attily. Poznaję osobiście czterech kolegów po piórze, badających jednocześnie redaktorami miesięcznika: redaktora naczelnego dr Ilię Mihaly'ego, jego zastępcę Jozsefa



Annusa, Sandora Olasa i sekretarza Oddziału Simaa Mihaly'ego.

W rozmowie akcentem bardzo przyjemny. Otrzymuję w prezencie „Tiszataja” prawie w połowie poświęcony polskiej literaturze. Wiersze Baczyńskiego, Rózewicza, Szymborskiej, Brylla, Nowaka, Grochowiaka, opowiadanie N wako-wskiego. Reprodukcyjne naszych wysmienitych plakatów teatralnych i filmowych.

Koleżdy z redakcji „Tiszataja” interesują się nie tylko naszą kulturą. Od kilku lat rozwijają ciekawy dział: most,



pomost — w dowolnym tłumaczeniu, ale wiadomo o co chodzi — w którym prezentują najwybitniejsze osiągnięcia literatury środkowoeuropejskiej.

Rozmawiamy o wszystkim na miarę ograniczonego czasu, nie tylko o swoich literackich pdwórkach. M.in o spotkaniach z czytelnikami. Sami Mihaly śmieje się, że na ostatnim spotkaniu autorskim w jakiejś wiosce dostał w prezencie żółtwa. Szerze mówiąc zakluto mnie w tym momencie w sercu — z brzydkiej zazdrości.

7. WYSTAWY, WYSTAWY. Przyjechałem później i tylko na jedną z nich: plakatu, zdażyłem na otwarcie. Pozostałe trzeba było więc pokonywać „z marszu”, jako że program Tygodnia biegił swoim wartkim tokiem. Węgiel jak amerykański turysta przebiegł kilkadziesiąt wystawowych. Szczegółem większość autorów znajoma.

Każda wystawa inna, żadnych więc porównań. Wszystkie ambitnie przygo-

towane, z myślą, żeby pokazać co mamy najlepsze. Łódzcy plastycy nieczolowicie czuwal nad oprawą estetyczną i właściwą kompozycją eksponatów.

W siedzibie wojewódzkiej rady wystawa główna, prezentująca całokształt dorobku Ziemi Łódzkiej. Praktyczna forma: plansze, mapy, fotografie. Przekrój przez całość życia gospodarczego, kulturalnego, miasta i wsi, zabytki i folklor, rozmach budownictwa przemysłowego i komunalnego. Syntezy skróty, wizytówka oddająca jednak skalę problemów, jakie w województwie łódzkim dominują.

Wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby. Po dwie prace autorów reprezentujących czołówkę łódzkiego oddziału ZPAP. Lista długa, wszystkie style — od konceptualizmu do hiperealizmu. Andrzej Adama Sadowskiego. Policzylem się trzydziestu sześciu autorów. Naprawdę wystawa, z którą można pojechać wszędzie.

Wystawę sztuki łowickiej podczas kilku dni odwiedziło ponad tysiąc osób, dziesiątki wpisów do książki pamiątkowej. Popularność w pełni zasłużona. Czego tam nie ma: kwiaty, wieniec, pajaki, rzeźby z drewna, lalki, ceramika z gliny, dzbanuski — pisanki, skrzynie malowane, stroje, słynne łowickie pasiaki. I przy wyjściu w takimże pasiaku Emilia Pudłowska na poczekaniu wycinająca papierowe kugielki.

Duże wrażenie wzbudza wystawa sztuki użytkowej. Użytkowość przedstawionych eksponatów to pojęcie umowne. Obecnie bezspornie z dziełami sztuki — i to najwyższej klasy. Czerpną autorów prezentują głównie gobeliny, a także świeczniki, wyroby z drewna i szkła, ceramikę, różnorodne zestawy form użytkowych.

8. SZENTES. Jedno z największych miast komitatu Csongrad. Wyjeżdżamy pociąg popołudniem. Za Szegedem pola rafinerii, dalej bezkresna węgierska puszta. Równina jak stół po orzeża horyzontu. Czasami jakas kępa drzew, przysiółek, stada jasnościelitych krow. Most na Cisie, ostatnia prawie okazja by zobaczyć „most bałkański” — wąski przesydek dla ruchu kolejowego i kołowego. Czekamy kilkanaście minut na przejazd pociągu. Po-



tem długo przesuwają się z naprzeciwka duża kolumna samochodów. To już kwestia miesięcy, w odległości kilkuset metrów kończy się budowa drugiego mostu.

Szentes ma 33 tys. mieszkańców, ale dorobiło się pięknego domu kultury na 600 miejsc. I jak nam mówią gospodarze nie stoi on pusty. Pani Julia Meszaros, była działaczka związku młodzieży, jest szefem kultury w Szentes. Jak mi wymienia wszystkie „dni” i festiwale, jakie tu organizują, to nie bardzo chce wierzyć. Ale to jest przemyślany sposób działania. Nie mając na miejscu teatrów i zespołów artystycznych muszą importować kulturę z większych ośrodków. I robią to stwarzając przyjeżdżającym odpowiednie warunki, potrafią nawet znaleźć drogę do najwybitniejszych artystów z Budapesztu, nie mówiąc o teatrach z Csongradu i sąsiednich województw.

Wieczór w Szentes upływa pod znakiem zespołu z Wiśniowej Góry i kapeli M. Gumowskiego z Nowego Miasta. W tegorocznym Tygodniu Ziemi Łódzkiej folklor rzeczywiście dominuje. W telewizji akurat serial Rybkowskiego „Chłopi”, w kinie „Wesele” Wajdy,

a po całym komitacie buszuje żywa, roztańczona i rozśpiewana Wiśniowa Góra. Zespół, (który w przyszłości oddzielnie przedstawimy naszym czytelnikom, bo w pełni na to zasługuje) jest świetnie technicznie przygotowany i rzecznie niebagatelna — autentyczny. Wzruszająca prostota poetyckich tekstów zebranych po wioskach, dobre głosy, tańce z temperamentem młodocianym, wzbudzają wszędzie sympatię i zmuszają do wielokrotnych bismów. Kapeli Gumowskiego, mimo językowej bariery, udaje się także porwać publiczność, co jest głównie zasługą utalentowanych solistów.

9. W muzeum, w sali malarstwa współczesnego, zwracam uwagę na obraz Janosa Hemmerta „Epoka aluminiowa”. W kilka dni później siedzę w jego pracowni. Ten obraz to nie przypadek. Janos od kilku lat zerwał z tradycyjnym malarstwem, fakturę obrazu wzbogaca metalem, plastikiem, szkłem, drewnem, elementami sieci i fragmentami sprzętów domowego użytku. Wystawiony „Pionier” posłużył mu za kompozycję wnętrza sputnika. Obecnie głowi się jak najlepiej wykorzystać rozbitą kineskop telewizora.

Zwraca moją uwagę obraz dość niesamowity: trzynastu stylizowanych, jakby rytych w drzewie, głów starych kobiet. I kończy się dyskusja o malarstwie, zaczyna historia, legenda, literatura. Rok 1728, lipiec. Lato tak skwarne i suche, że szczerzy pociekały do miasta. Oczywiście ktoś musiał być temu winien, ktoś zaczął wiać pogodę. Tłuszcz ziemi wypłynął Babyjagi. Miejscowy pleban z pomocą wiernych wytrącił ich trzynaście. Wojewoda Daniel Rozsa wydał wyrok. Obieśli je w koszule z pokrzywy i spalili na wstępie w rozwidleniu Cisy. (Wśród nich matkę pierwszego encyklopedysty Andrzeja Dugawicza). Do dzisiaj splewa się piosenka i Janos nuci ją w rytmie czardasa: „Dziewczyno, dziewczyno, nie chodź na wyspę Babyjagi, bo zostaniesz zaczarowana”. Ale jest to już piosenka o zaczarowaniu miłosnym.

10. Tydzień Ziemi Łódzkiej w Csongrad był okazją do wszechstronnej wymiany poglądów, doświadczeń i pokazania dorobku (w tym roku) naszej strony. Program był wszechstronny i bogaty, różnorodny i ciekawy. (Nie sposób było nawet skrótować wyliczyć go w całości). Nasi emisariusze kultury zrobili wszystko, żebyśmy wypadli jak najlepiej i należał im się za to wyrazić uznania. Nie szczędził ich zresztą tow. Jan Debowski, sekretarz KW przewodniczący delegacji. Tydzień pokazał jak dzięki wspólnemu wysiłkowi obu stron należy praktycznie realizować współpracę.

11. Prawie cały dzień wleczymy się po Budapeszcie z presem łódzkich plastyków Wiesławem Garbolskim i pianistą Karolem Niecie. Sumujemy świeże wrażenia, wrażenia dobre. Z wystaw, koncertów, spotkań w różnych środowiskach i tych zwyczajnych osobistych kontaktów. I dochodzimy do wniosku, że znane od lat porzekadło o bratankach, ma swój żywy, współczesny sens.



ŚRODOWISKA TWÓRCZE

W ostatnich latach znacznie wzrosła rola i ranga środowisk twórczych Łodzi, zarówno w samym mieście, jak i w skali międzynarodowej. Potwierdzeniem nie tylko formalnym, niech będą liczne nagrody i wyróżnienia, stałe kontakty między środowiskami i wymiana kulturalna, liczne imprezy o charakterze ponadregionalnym, jak np. Łódzka Wiosna Artystyczna.

Organizatorami i reprezentantami środowisk twórczych są związki i stowarzyszenia twórcze. Ich statutowe zadania to: prowadzenie działalności merytorycznej, upowszechnienie, obrona praw autorskich, zabezpieczenie warunków pracy oraz cały wachlarz zagadnień związanych ze sprawami socjalno-bytowymi. Statutowe zadania merytoryczne powinny dominować, niemniej w różnych związkach różnie przedstawiają się proporcje między działalnością podstawową, a pozostałymi kierunkami pracy. Nie jest to zjawisko pozytywne, ale często uzasadnione, dyktowane konkretnymi sytuacjami i potrzebami.

Uchwały Plenum KŁ zwracają m. in. uwagę na konieczność wzmocnienia działalności merytorycznej związków i stowarzyszeń, na ożywienie wewnątrzśrodowiskowych dyskusji, na stwarzanie właściwej atmosfery intelektualnej i warunków do praktycznego działania na linii twórcy - odbiorcy.

Przyjrzyjmy się zatem w syntetycznym skrócie, jak przedstawia się sytuacja w poszczególnych związkach (stawiając znak równości między związkami a środowiskami).

ŚRODOWISKO PLASTYCZNE

Łódzki Oddział ZPAP liczy 714 członków (trzeci pod względem wielkości oddział w kraju) prowadzi w szeregach i przez całą działalność, wyróżniając się aktywnością wśród pozostałych związków. ZPAP jest przykładem, że można osiągnąć wielość i dobre efekty mimo braku cieplarnianych warunków. I rzeczywiście lista postulatów, jakie zgłaszają łódzcy plastycy jest długa: budowa pracowni (mimo że posiadają ich najwięcej w kraju, tj. około 140), zwiększenie powierzchni wystawianych (obecnie ok. 400 m kw.), gdyż w obecnych warunkach tylko ok. 30 proc. dorobku poszczególnych autorów może być publicznie prezentowane; oraz cały pakiet propozycji dotyczących udziału plastyków w architektonicznym kształtowaniu miasta, wychowaniu estetycznym w szkole, projektowaniu form przemysłowych itp.

Statutowe zadania ZPAP określone jako „kształtowanie kultury plastycznej w PRL” łódzki oddział realizuje na wszelkich możliwych odcinkach. Do najważniejszych należy organizacja trzech dużych, ogólnopolskich wystaw: Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Triennale Malarstwa pn.: „Nadrealizm i metafora” oraz wystawę pn.: „Plastyka w architekturze”. W bieżącym roku zorganizowano dodatkowo wystawę ogólnopolską pod hasłem sztuki zaangażowanej społecznie i politycznie. Te działania zbiorowe uzupełnia i poszerza corocznie kilkadziesiąt wystaw indywidualnych.

Wśród łódzkich plastyków najliczniejszą grupą (ok. 300 osób) są plastycy-projekanci przemysłowi. Stanowią oni ogromny potencjał gospodarczy, który winien być lepiej wykorzystywany niż dotychczas. Pilne jest określenie statusu zawodowego plastyków pracujących w przemyśle. Stojące na wysokim poziomie artystycznym wzornictwo musi mieć decydujący wpływ na jakość i estetykę wyrobów przemysłowych, zwłaszcza przeznaczonych na rynek.

Plastycy słusznie zgłaszają pretensje do architektów i urbanistów. I niewątpliwie trzeba dążyć do tego, aby plastycy mieli wpływ już na etapie projektowania, abyśmy nie mówili że mieszkamy w „kamiennych

osiedlach”. Także niepokój o wychowanie plastyczne w szkole, prowadzone zazwyczaj przez niefachowców, jest uzasadniony. I stąd głównym powodem potrakowania postulatów powołania przy PWSSP wydziału pedagogicznego.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że ZPAP obok nacechowanej dynamizmem i pomysłowością działalności merytorycznej jest organizatorem usług o charakterze plastycznym poprzez Doświadczalną Pracownię Graficzną (jest to duża i nowoczesna drukarnia), Pracownię Ceramiczną (dotychczas do robót) i Zakład Usługowy. Ten typ działalności ogranicza deficyt tak poszukiwanych usług, a także stwarza szersze możliwości dla samych artystów plastyków w tworzeniu dóbr powszedniego użytku. To również ważne jak realizacja artystowskiego powołania.

Ambicje tego typu znajdują również swoje potwierdzenie. W ostatnich dwóch latach wielu łódzkich plastyków zdobyło poważne nagrody międzynarodowe i krajowe. M. in. B. Liberski, W. Garbaliński, K. Kamiński, E. Tyc, A. Starczewski, J. L. Stanek, St. Fijałkowski, J. Wiktorowski. Laureatem nagrody miasta jest W. Bójko, a województwa łódzkiego L. Różga.

ŚRODOWISKO TEATRALNE

Łódź jest jednym z większych ośrodków życia teatralnego w kraju. Działają tu 8 przedsiębiorstw teatralnych w tym trzy teatry dramatyczne o sześciu scenach, jeden teatr dramatyczny objazdowy, dwa teatry muzyczne i dwa teatry lalkowe. Wymowę tego imponującego zestawienia osłabia fakt, że stan techniczny łódzkich teatrów, ich zaplecza i wyposażenia - jest niezadowalający.

Nie wzbudza także entuzjazmu, w świetle najlepszych tradycji, prowadzona w ostatnim okresie polityka reperturowa, jakby nie było oczywistością, że teatr obok filmu i TV jest masowym środkiem przekazu treści ideowych i artystycznych.

Dwa lata temu z inicjatywy łódzkiej instancji partyjnej podjęta została w środowiskach teatralnych i na łamach prasy ciekawa i bogata w wnioski dyskusja na temat roli i funkcjonowania teatru. Przyniosło to ideowo-artystyczne ożywienie w sezonie 1971-72. Ostatni okres to jednak spory regres, mimo iż można odnotować wiele przedstawień ambitnych i wartościowych, takich jak: „Hamlet”, „Bolszewicy” w Teatrze Jaracza, „Kubuś Fatalista” wg Diderota (nagroda „Srebrnej Łódki”), „Czekając na Godota” Becketta, „Proces o Andersonville” Levitta w Teatrze Nowym, „Arka dobrej nadziei” Sirbu, „Matka Courage” Brechta w Teatrze Powszechnym.

W sumie trzeba jednak stwierdzić, że było za wiele ustępstw artystycznych, spektakli obliczonych wyłącznie na sukces kasowy, za dużo literatury dramatycznej średniego i niskiego lotu. Świadomość, że zasięg i skuteczność społecznego oddziaływania teatru jest w pierwszym rzędzie wynikiem jego rangi artystycznej, musi skutecznie, na co dzień i perspektywnie, towarzyszyć naszym twórcom. Próby usprawnienia obecnej polityki reperturowej „specyficznym charakterem łódzkiej publiczności” trzeba zastąpić rzetelnym rozeznaniem stanu potrzeb. I trzeba wyjść naprzeciw pozytywnym przemianom, jakie szybko następują w społeczności naszego miasta.

To również zadanie dla łódzkiego Oddziału SPATIF - ZASP, który jeszcze w zbyt małym stopniu jest twórcą koncepcji życia teatralnego, jakim winien być związek twórczy. A przecież przykłady bardzo dobrych spektakli i dużej klasy osiągnięć indywidualnych są niezbitym argumentem, że w Łodzi są warunki do rozwijania bogatych i wszechstronnych działań teatralnych. Są szanse na dzieła wybitne, wydarzenia teatralne w skali kraju.

ŚRODOWISKO LITERACKIE

W odróżnieniu od środowiska plastycznego i teatralnego, liczące 58 osób łódzkie środowisko literackie funkcjonuje bardziej na zasadzie indywidualistycznej niż zbiorowej. Takie jest specyfika zawodu literata co nie oznacza, że Oddział ZLP spełnia funkcje formalno-reprezentacyjne. Niemniej powyższy podział jest wyraźny i zarówno osiągnięcia jak i braki trzeba w tych kategoriach rozpatrywać.

Pisarze łódzcy wypowiadają się w zasadzie we wszystkich formach literackich, poetyckich, prozatorskich, dramatycznych. W prozie dominuje szeroko rozumiana problematyka współczesna i literatura dla młodzieży, w poezji nieobecne są obok tradycyjnych kierunki najnowsze i ekspe-

rymentatorskie. W ostatnich kilku latach literaci łódzcy odnieśli wiele sukcesów znaczących w skali kraju. Zdobyli wiele nagród krajowych i lokalnych, są laureatami poważnych konkursów. Wielu autorów z powodzeniem tworzy dla potrzeb filmu, telewizji, radia, słusznie poszukując takich środków artystycznej wypowiedzi, które spotykają się z najszerszym rezonansem społecznym.

Te znaczące sukcesy indywidualne dyskutowane są w działalności zbiorowej oddziału ZLP. Łódź, np., od dziesięciu lat jest miejscem ogólnopolskiego festiwalu poezji, najważniejszego tego typu imprezy w kraju. To nie przypadek, lecz efekt istnienia silnego środowiska poetyckiego. Łódź także jest miejscem, gdzie w przeszłości i obecnie związki literatury z pracą, pisarzy ze społeczeństwem, były i są żywe i świadomie kulturowe. Przykładem niech będą liczne imprezy zbiorowe w zakładach pracy, szkołach, klubach środowiskowych, kontakty z wojskiem, publikacje (w przygotowaniu książka zbiorowa „Pisarze o swoich fabrykach”), przygotowywane sympozjuma nt. literatury o pracy (wspólnie z zakładami im. Obrońców Pokoju).

Znaczący jest również udział pisarzy łódzkich w działalności społeczno-kulturalnej, ich aktywna obecność w intelektualnym życiu miasta. Liczne i już ze sportem dorobkiem jest „pokolenie następców” - Kolo Młodych przy ZLP liczy ponad dwudziestu członków.

Jak w każdym żywym organizmie nie brak też elementów negatywnych. W mieście Reymonta i Tuwima, temat łódzki, potencjalnie tak płodny poprzez dynamikę zachodzących tu ciekawych i ważnych procesów społecznych, nadal nie może doczekać się ekspozowanego miejsca. Podejmowana tematyka współczesna w utworach łódzkich pisarzy zbyt często rozmiąta się z centralnymi problemami naszego czasu. Również w działalności związkowej daje się zauważyć, że część literatów (co prawda nie liczna) wykazuje pewną pasywność i outsiderskie maniery.

Niemniej istnieją podstawy do pełnego optymizmu, o czym świadczą przede wszystkim dobra atmosfera ideowa i polityczna w środowisku, podejmowanie szczerych i konstruktywnych dyskusji na tematy nie tylko artystyczne; wreszcie, ambitne plany na przyszłość. Zarówno w sensie indywidualnym, poprzez zgłoszone książki dla wydawców (głównym wydawcą jest Wydawnictwo Łódzkie, które ostatnio przeszło poważne zmiany kadrowe i organizacyjne), jak też plany kolektywnego działania na rzecz zaspokajania kulturowych potrzeb mieszkańców Łodzi i województwa łódzkiego.

ŚRODOWISKO MUZYCZNE

Instytucjonalnie - to przede wszystkim: Teatr Wielki, Filharmonia, Teatr Muzyczny, Łódzka Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji, sieć szkół muzycznych i ognisk artystycznych.

Organizacyjnie - Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzycznych, Związek Kompozytorów Polskich, Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. K. Szymanowskiego i Związek Muzyków Rozrywkowych. Oddział ZKP stanowi dziesięciu kompozytorów reprezentujących rozmaite style i techniki twórcze. Wielu łódzkich artystów (długa to lista, wymienimy więc niektórych - T. Wojtaszek-Kubiak, D. Ambrozjak, H. Czyż, B. Madey, A. Siciak, B.

Górzyska, zespół Pro-Musica”) zdobyło zasłużone uznanie na skalę krajową i międzynarodową.

W ostatnich latach podniósł się wyraźnie poziom artystyczny Filharmonii Łódzkiej. W latach 1972-73 liczba słuchaczy zwiększyła się o ponad 6,5 tys. osób.

Teatr Wielki od czasu inauguracji (1967) do chwili obecnej zrealizował 38 pozycji operowych i baletowych dla ok. dwóch milionów widzów. W repertuarze teatru znajdują się najwybitniejsze klasyczne dzieła operowe oraz wiele pozycji polskich kompozytorów, w tym także współczesnych. TW aktywnie uczestniczy w wymianie artystycznej z zagranicą, jest organizatorem jednego w kraju festiwalu baletowego i konkursu choreograficznego.

Teatr Muzyczny w Łodzi odwiedza rocznie ok. 240 tys. widzów. TM jest organizatorem ogólnopolskiego festiwalu teatrów muzycznych, blisko współpracuje z wydziałem wokalistyki i aktorstwa PWSM.

Muzyka rozrywkowa zajmuje się Estrada Łódzka i Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Na te przeżywające w ostatnich latach wyraźny kryzys Estrady, Stowarzyszenie ME wyróżnia się rozmachem organizacyjnym: m. in. SME zorganizowało w br. pierwsze w kraju Polskie Targi Estradowe.

Pilnego uporządkowania wymaga szkolnictwo muzyczne. Poza PWSM, która ma znaczenie ponadregionalne (aktualnie ok. 300 studentów) posiadamy za mało szkół muzycznych I stopnia. Rozwiązaniem przejściowym bądź uzupełniającym może być otwieranie klas muzycznych w osiedlowych szkołach podstawowych, co zapewni dopływ najodolniejszej młodzieży do szkół muzycznych wyższych stopni.

ŚRODOWISKO FILMOWE

Łódź stanowi zasadniczą część krajowego przemysłu kinematograficznego (WFF, WFO, „SEMAFOR”, zakłady kopii, studio opracowań filmów), jest ważnym ośrodkiem naukowym i kształcenia zawodowego. (Instytut Teorii Dramatu i Filmu na UL i jedyna w kraju PWSFTiF - kształci ponad 300 studentów). Wartość produkcji łódzkich wytwórni stanowi w skali kraju: 55 proc. filmów fabularnych, 25 proc. produkcji filmów średnio- i krótkometrażowych, 30 proc. opracowań itd. Zakłada się równocześnie, że w przyszłości (po rozbudowie i modernizacji wytwórni) udział ten znacznie wzrośnie. Planuje się także utworzenie do roku 1980 Łódzkiego Centrum Kultury Filmowej.

W tym stanie rzeczy, który może skądinąd satysfakcjonować, zabrakło ważnego ognia integrującego środowisko filmowe, jakim jest zespół realizatorów. Od wielu lat władze polityczne i środowiska twórcze (bo to nie tylko sprawa filmowców) postulowały utworzenie zespołu filmowego. Wszystko wskazuje na to, że z końcem br. starania te zostaną zakończone powodzeniem. Będzie to dalszy ważny krok w kierunku pełnego rozwoju miejscowego środowiska filmowego - przykład realizacji w praktyce koncepcji polcentryzacji życia kulturalnego w Polsce.

(d.c.n.)

JERZY WAWRZAK

CHILIJSKA ROZGRYWKA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kraju musiał wymieniać na złoto”. Ale już w 1964 roku zarządziła się dla ITT groźba utraty uorzywiełowej pozycji w Chile. Oto bowiem do wyborów prezydenckich obok chrześcijańskiego demokraci, Eduardo Frei'a, stanął również lewicowy polityk, Salvador Allende. Genereen sparzyłszy się na Kubie - gdzie stracił cały swój majątek - postanowił za wszelką cenę odnieść podobną ryzyko w Chile. Spodziewał się, że w wypadku zwycięstwa Allende w wyborach prezydenckich, mógłby utracić swa chilijska „klota życie”. Toteż nie ośmielał się wzywać ówczesnego szefa CIA - Johna McConela, proponując mu pomoc finansowa w wypadku, gdyby CIA poparło konkurenta Allende - Frei'a. Szeł CIA nie skorzystał jednak z oferty Genereen, mówiąc, że z zasady nie przyniome pieniędzy z owych źródeł. Natomiast w Chile Eduardo Frei' wygrał wybory bez pomocy pieniędzy z ITT. Od tego momentu minęło sześć lat, w ciągu których szanse kandydata lewicwy, Allende - powoli rosły.

W obliczu więc nowego zagrożenia dla koncernu ITT w Chile chilijska filia zatrudniała wówczas około 6.000 osób, a jej majątek według nowojorskich rejestrów był szacowany na 133 miliony dolarów. Harold Genereen znów nawlazał kontakt z Johnem McConem. Tym razem nie składał mu już wizyty, a wzywał go po prostu do siebie. Jako że McConie nie był już wówczas szefem CIA i Genereen zatrudnił go jako jednego z dyrektorów w nowojorskim centralnym koncernu. W zamian szeł ITT zapłacił od niego, aby wysyłał nowego dyrektora CIA - Richarda Helmsa co do sposobu, w jaki można by przy pomocy wywiadu uniemożliwić zwycięstwo Allende w wyborach. Niebawem McConie w porozumieniu z Helmsiem zaplanował spotkanie Genereen z pracownikiem CIA, na którym spoczywała odpowiedzialność za „tę operację” - w Ameryce Łacińskiej. Człowiekiem tym był William Broe.

W wrześniu 1970 roku - Allende zdobył 36,3 proc. głosów, czyli więcej niż jego konkurenci - Alessandri i Tomie. Teraz, zgodnie z konstytucją Chile, Kongres w

Santiago w ciągu 30 dni, miał dokonać wyboru nowego prezydenta. Dla ITT i Genereen była to więc ostatnia szansa, aby uniemożliwić Allende objęcie władzy. Rozwinięto szerokoakcyjną działalność. Genereen ponownie wzywał McConela i dał mu wolną rękę, by wypłacił rządowi amerykańskiemu milion dolarów, jeśli uda mu się zawiązać w Kongresie chilijskim skuteczną koalicję przeciw Allende. McConie przekazywał życzenia swego szefa Helmsowi i doradcy prezydenta Niksona do spraw bezpieczeństwa Henry Kissingerowi. Ci jednak odrzucili zarówno pieniądze, jak i „plan” ITT, chociaż stanowiąc USA wobec Chile uleżało już pewnej metamorfozie. Mijały dni i plan Genereen znów zaczął nabierać realnych kształtów. William Broe, który poprzednio odrzucił oferowane pieniądze, stworzył obecnie koncepcję niedopuszczalną do wyboru Allende. Zgodnie z założeniami tego planu miało działać w kierunku systematycznego wprowadzania rozrządów w gospodarce chilijskiej. Do momentu decydującego głosowania w Kongresie, b - i miały zwiększać z wypłacaniem kredytów, a firmom miało zalecić odkładać zapłatę należności i wbrew umowom - przesuwać dostaw na późniejsze terminy. Lecz także ten plan ITT-CIA nie został zrealizowany. W Waszyngtonie chybło zrozumiano, że Alessandri nie będzie miał żadnych szans w konkurencji z Allende.

30 października 1970 roku Alessandri wycofał swoją kandydaturę, zaś w cztery dni później Kongres Chile wybrał Allende prezydentem kraju. Mimo to menażerowie ITT w Nowym Jorku nadal nie rezygnowali. Wraz z amerykańskimi kopalniami miedzi ITT kontynuowało plany obalenia Allende. 11 lutego 1971 roku Ned Gerrity sprawujący kontrolę nad statkami tajnych agentów pozostałych na usługach ITT w Ameryce Łacińskiej, w połącznej nocy, przesłaneł Genereenowi, na idea była całkiem prosta. Należało powołać taktykę stosowaną już wobec Peru, gdy państwo to rzeczywiście wywłaszczyło swego czasu szereg innych koncernów. Szefowie towarzystwa kalkulowali, że jeśli Allende wywłaszczy kopalnie miedzi (co zresztą uczynił), bez odszkodowania, to ściąganie na Chile krytykę całego świata. Te sytuacje chciał właśnie wyko-

rzystać Genereen. Gdyby tak Allende uznał prawa i względy, jakimi cieszył się ITT w Chile, w zamian koncern nie stawiał na jego drodze reform i prezydent mógłby powiedzieć:

„Spójrzcie na ITT. Czy nie jest to przykład sprawiedliwego porozumienia, do jakiego może dojść między ludźmi dobrej woli?”

W maju 1971 roku delegacja przedstawicieli koncernu spotkała się z prezydentem Allende, który potraktował ich żywymi i ze zrozumieniem. W maju Allende ogłosił - dziewięć o nacjonalizacji towarzystwa, lecz ITT nadal prowadziło transakcje z władzami Chile, odwołując się do obywatelskiego prawa. W tym czasie Allende ogłosił, że Chile nie dozwoli na nacjonalizację, do tego jednak nie doszło, rozmowy znalazły się w impasse. A we wrześniu 1971 roku prezydent Allende mianował z ramienia rządu, chilijskiego administratora filii ITT, poddając ją tym samym nadzorowi państwowemu. Centrala koncernu potraktowała ten krok jako rodzaj dyskretnej nacjonalizacji.

Na 15 dni przed rozstrzygnięciem „opieki” nad jego towarzystwem, Genereen podczas śniadania w Białym Domu z „Petem” Petersonem (byłym doradcą ekonomicznym Niksona i ministrem handlu) oraz z reo. Halsem, zastępcą Kissingera w National Security Council (Krajowa Rada Bezpieczeństwa) - uprzedził ich, że chilijska filia ITT zostanie niebawem „nacjonalizowana. Nieco później zwrócił się do jednego ze swoich najbliższych doradców - Billa Merriama, z prośbą, aby ten ostatni napisał do Petersona i przedstawił mu szereg uwag, aby planu interwencji, zaproponowanego przez ITT, Plan ten zaś nie był niczym innym, jak tylko kolejną formą procesu obalenia Allende:

„Należy poruszyć wszystkie sprężyny, bez rozgłosu, aby przy pomocy wszelkich niezbędnych środków, aby uniemożliwić Allende przetrwanie” sześciu pierwszych miesięcy, które będą miały dlań decydujące znaczenie”.

W dalszej części planu zakładano, że Białe Dom powinien jak najszybciej powołać specjalną komisję z zadaniem wywierania presji na Chile. Wyrażałoby się to w działaniach, uniemożliwiających bankom amerykańskim lub zagranicznym udzielanie Chile nowych kredytów, oraz w wywołaniu niezadowolonych w łonie armii chilijskiej. Plan przewidywał także

sabotowanie protekcyjnych dyplomatycznych posunięć Allende. Miano również subwencjonować prawników, dziennik „El Mercurio” oraz współpracować z CIA, aby poprzez stosowanie najszybszych środków „zaciśnięcie pętli na jego (Allende) szyi w ciągu trzech sześciu miesięcy”.

W cztery miesiące po przedstawieniu 18-punktowego planu, Genereen wysłał Janku Gullfovię do Chile, aby ten spotkał się z prezydentem Salvadorem Allende i wypracował wspólnie z nim formułę kompromisową. Ale oto w miesiąc później ukazał się artykuł Jacka Andersona, prezydenta dokumenty, które całkowicie zdemaskowały całą podwójną grę prowadzoną przez ITT wobec Chile. Pod wpływem niezbitych dowodów spisku zawiązanego przez koncern, prezydent Allende wystąpił w Kongresie chilijskim z żądaniem przegłosowania projektu ustawy o nacjonalizacji spółki telefonicznej ITT w Chile bez odszkodowania.

Komisja dochodzeniowa Senatu amerykańskiego, badająca działalność koncernu ITT w Chile, zawiązywała w konkluzji sprawozdania z czerwca 1973 roku, iż plan ITT zmierział do wywołania „rozlewu krwi i ewentualnej wojny domowej”. Ustulała, wyczerpała wpływ na politykę Chile, filia „przekroczyła donuzucalne granice postępowania przedsiębiorstw”. Wyrażono przy tym obawę, że gdyby już przyjął ITT rozpoznać, że to „wkrótce żaden kraj nie będzie się godził na obecność firm wielonarodowych”. Ponadto senatorowie wypowiedzieli się za projektem nowej ustawy, zgodnie z którą prawo wywołania na wynik wyborów w innym kraju za pomocą ofert finansowych pod adresem którejś z agend rządów USA, miałyby zostać uznane za przestępstwo i zagrożone karą. Po raz pierwszy zdarzyło się więc, że oficjalne kremlu amerykańskiego sądziło państwowe skrytykowanie amerykańskiej koncern i to w tak ostrej formie, że fakty ujawnione przez Andersona i komisję senacką doprowadziły do najsilniejszego kryzysu ITT w całej dotychczasowej historii tego koncernu.

Na giełdzie nowojorskiej NYSE kurs akcji ITT tylko w pierwszej połowie ub. roku spadł z 60 1/2 dolara do 30 3/4 dolara (obecnie kształtuje się on na poziomie zaledwie około 19 i 1/2 dolara). Ten spadek kursu tłumaczy się przede wszystkim brakiem zaufania akcjonariuszy do koncernu. By więc zapobiec dalszemu spadkowi kursu akcji, prezes koncernu, Harold Genereen, zdecydował się na krok wyjątkowy: podwyższenie wartości akcji akcjonariuszy w maju 1973 roku w Kansas City oświadczył, że firma sama wykupi na wolnym rynku dwa miliony swych własnych akcji, by uchronić udziałowców od dalszych strat. Wszystko

wskazuje na to, że minal już czas gwałtownej ekspansji ITT. Bowiem równie bieżący rok nie przyniósł, jak dotychczas, min. zadowiedzi Genereen istotnego wzrostu obrotów i zysków.

Zepsuta opinia koncernu i zła sława o stosowanych metodach wymuszania sukcesów gospodarczych za pomocą wadliwych środków politycznych, utrudnia poważnie interesy ITT tak w USA, jak i za granicą. Niedawno kontrolę ksiąg finansowych koncernu - również nie wypadły dlań nakorkiem. Coraz częściej pojawia się pytanie:

„Co to za system, w którym potężna firma może poruszać się korzystając z władzy państwowej tak, jakby były one jej własnymi?”

Przemawiając w 1972 roku na posiedzeniu akcjonariuszy ITT, Genereen powiedział:

„Nasz wkład do nowoczesnego społeczeństwa polega na tym, że by stworzyć należnych obywateli, na ile pozwalają nasze środki i ramy naszego systemu społecznego”.

Anthony Jay w swej książce „Management and Machiavelli” słusznie chyba stwierdza, iż „dla przyszłych studentów, studiujących dzieje XX wieku, historia takiej firmy jak General Motors będzie o wiele ważniejsza, niż historia na przykład szwajcarskiego narodu i jego państwa”. Nie dziwnego, obroty General Motors za ubiegły rok wyniosły 36 miliardów dolarów, zaś dochód narodowy Szwajcarii wynosił nieco ponad 30 miliardów dolarów. Toteż nie ma się także czemu dziwić, że na przykład Genereen uważa rządy za bardziej niż słabe i niekompetentne, a swoje zadania cen i wyżej niż zadania premierów, prezydentów czy monarchów. Wymownym wyrazem lekceważenia władzy państwowej jest jego postępowanie. Jeszcze dział pracowni ITT opowiada o tym, jak ich szef kazał kiedyś czekać na siebie królów Belgów, a audyencje u szacha perskiego w ostatniej chwili przesunął na późniejszy termin. Ale także ów „słynny człowiek” koncernu musi kiedyś odejść.

„Wówczas - jak przewiduje Anthony Sampson - okaże się, że imperium ITT nie może istnieć bez energii i żelaznej kontroli tego miszra”.

Pisze on dalej:

„Dla firmy nastąpia straszne czasy. Różne części koncernu usamodzielnia się i wówczas wyraźnie ujawnia się błąd systemu - brak informacji, a także brak ducha przedsiębiorczego w dalszych szeregach kierowniczych”.

ANDRZEJ BLAJER



GŁOS ROBOTNICZY

CZERWIEC

1974

FOTOREPORTAŻ

WŁODZIMIERZA PARYSA



POLSKIE MOTYWY

Już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na dorobek uczonych radzieckich, którzy obrali sobie za przedmiot swych zainteresowań badawczych historię Polski. Nasz czytelnik zna dziś dobrze nazwiska takich wybitnych historyków, jak W. Dżakow, A. Smirnow czy T. Snytko i innych, którzy wnieśli trwały wkład w poznawanie naszej przeszłości w XIX stuleciu. Wspólną cechą ich prac, z których wiele zostało przetłumaczonych i wydanych w naszym kraju, jest wyzyskanie obszernego, nieznanego dotychczas materiału źródłowego, odnalezionego w zbiorach radzieckich. Pozwoliło to na wprowadzenie wielu nowych ustaleń, na wyjaśnienie licznych zagadek, na rzucenie snopu światła na długi szereg problemów dotąd nierozstrzygniętych i znanych jedynie po-
L-wicznie.

Do długiej już dziś listy historyków radzieckich, których dorobek posiada duże znaczenie dla znajomości naszej własnej, polskiej przeszłości, wypadła nam dziś dołączyć jeszcze jedno nazwisko, które brzmi: W. J. Grosul. Historyk ten znany dotychczas raczej z niewielkich, ale cennych artykułów, dotyczących zwłaszcza dziejów bałkańskich XIX w., opublikował w zeszłym roku w Kiszyniowie (1973) obszerną, liczącą ponad 500 stron monografię, zatytułowaną: „Rewolucjonisci rosyjscy w Europie południowo-wschodniej 1859-1874”. Wprawdzie tytuł pracy nie wskazuje bezpośrednio, że w znacznej części dotyczy ona problematyki polskiej, wystarczy jednak zaglądnąć do spisu rozdziałów, by się przekonać, że uczony przedstawił w niej również dzieje nadzwyczaj aktywnej w badanym przezeń okresie polskiej emigracji na Bałkanach, jej działalność polityczną, wymierzoną w znacznej mierze przeciw polityce carskiej Rosji, jak i — co zasługuje na szczególną uwagę — nadzwyczaj mało znane zagadnienie kontaktów i współpracy polskich działaczy na wychodzie z emigrantami — rewolucjonistami rosyjskimi.

Zainteresowania badawcze radzieckiego historyka ogarnęły nie tylko polską emigracyjną demokrację, lecz także i środowiska zachowawcze, związane z Hotelem Lambert, który prowadził wówczas szczególnie aktywną politykę na Bałkanach. Stąd zajął się również polityczną działalnością Sadyka Paszy — Michała Czajkowskiego, niegdyś uczestnika powstania listopadowego, potem głośnego nie tylko wśród Polaków i modnego autora „powieści kozackich”, obnoszącego się w kozackim stroju po ulicach Paryża, wreszcie politycznego reżysera A. Czartoryskiego nad Bostorem, oficera i polityka w służbie tureckiej, wyznawcy islamu Sadyk Paszy.

Wystarczy zestawzić to, co o politycznej działalności M. Czajkowskiego miał do powiedzenia radziecki historyk z tym, co o tych samych sprawach napisała J. Chudzikowska w wydanej u nas przed laty (1971) książce „Dziwne życie Sadyka Paszy”, aby się przekonać, w jak znacznej mierze badacz politycznych dziejów Bałkanów zdołał uzupełnić naszą wiedzę o tej jakże interesującej postaci. Problematyka polska zajmuje w monografii W. J. Grosuli miejsce poczesne, choć ze zrozumiałych względów bynajmniej nie pierwszoplanowe: wszak tematem dzieła jest udział rosyjskich rewolucjonistów w narodowo-wyzwoleńczych ruchach na Bałkanach w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia. Skoro jednak w ruchach tych brali aktywny udział Polacy, i to najróżniejszych orientacji ideowo-politycznych, wypadło uczonemu zająć się także ich wielostronna aktywnością.

W 1914 r. W. I. Lenin pisał: „Dopóki masy ludowe Rosji i większości krajów słowiańskich spały jeszcze nieprzerwanym snem, póki w krajach tych nie było samodzielnich, masowych ruchów demokratycznych, szlachecki ruch wyzwolenczy w Polsce przybierał gigantyczne, pierwszorzędne znaczenie nie tylko z punktu widzenia demokracji ogólnorosyjskiej, nie tylko wszechsłowiańskiej, ale i wszech europejskiej”.

Nawiązując do tych słów radziecki historyk podkreśla ogromne znaczenie polskich ruchów narodowo-wyzwoleńczych dla historii rosyjskiej rewolucyjnej emigracji w XIX wieku.

„Polska emigracja polityczna pojawiła się znacznie wcześniej od ogólnorosyjskiej emigracji rewolucyjnej i wywarła korzystny wpływ na działalność tej ostatniej. Jednocześnie w miarę rozwoju rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, w coraz większym stopniu zaczął on włączać do siebie również i polskich rewolucjonistów, którzy wnieśli ważki wkład w dzieło zwycięstwa rewolucji w Rosji”.

Uogólnienia te przekraczają daleko ramy chronologiczne studium W. J. Grosuli, w którym zyskały nową, dodatkową argumentację.

Czytając tę książkę z nieślabnącym zainteresowaniem, zwracając baczna uwagę na te wszystkie nowe szczegóły, konstatacje i spostrzeżenia, na jakie pozwoliły autorowi nieznane źródła, wydobyte z bibliotek i archiwów Moskwy, Leningradu, Odessy, Lwowa, Kiszyniowa i Bukaresztu. Część informacji odnotowuje na swym podręcznym egzemplarzu „Nowego Korbuta”, jak na przykład wiadomości o nieznanych polskim badaczom listach Sadyk Paszy, znajdujących się w Bibliotece Rumuńskiej Akademii Nauk w Bukareszcie, w dziale rękopisów. Są to podobno listy do żony — niechybnie jednak pisane do owej Francuzki, którą M. Czajkowski pozostawił w Paryżu i unikał jak ognia, na pewno zaś nie korespondował z nią w sprawach politycznych, ale do Greczynki Teoscolo, z którą ożenił się w 1866 r. Ale dlaczego korespondencja ta pochodzi również (nie wiem, czy jedynie) z 1862 r.? Czyżby były to listy „przedmałżeńskie” M. Czajkowskiego? Zagadek jest wciąż wiele.

LEKTOR

działala PPR, Gwardia Ludowa, 1 oddziały bojowe AL. Walczyli także żołnierze z AK i BCh. Muzeum w Łowiczu posiada wstrząsające dokumenty z tamtego okresu. Turysta zapewne nie ominie domu przy dawnej ulicy Mostowej 22, dzisiejszej Dziegielewskiego, w którym 9 kwietnia 1944 roku odbyło się posiedzenie KP PPR. Dokonano wówczas wyboru pierwszego przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. I na tej tradycji, starannie pielęgnowanej, ludzie w Łowiczu uczą się nowego spojrzenia na życie.

Łowicz został wyzwolony 17 stycznia 1945 roku. Zaczyna się nowy okres w życiu miasta, które z roku na rok zmienia swój wygląd. Dotychczas Łowicz był miastem rzemieślniczo-rolniczym. Taki żywot pędził przez długie lata. Nie od rzeczy wypadnie przypomnieć, że jeszcze przed powstaniem styczniowym w latach 1858-1859 zorganizowano w Łowiczu ogólnopolską wystawę rolniczą, na której było reprezentowane rolnictwo ze wszystkich zaborów. Łowicz zawsze cieszył się opinią miasta rolniczego.

Ubiegłe trzydziestolecie zmienia strukturę miasta. Powstają nowe i duże zakłady i oto Łowicz przekształca się stopniowo w miasto przemysłowe. W starym krajobrazie miasta wyrastają nowe elementy. Turysta, który chce poznać dzisiejszy Łowicz, nie może przejsz obok niego, nie może przejsz obok nowych zakładów, które powstały w ostatnim czasie. Oto dwa największe: Przetwórnia Owocowo-Warzywnicza, która służy zarówno miastu jak i całemu okolicy rolniczej, oraz nowoczesne zakłady pończosznictwa „Syntex”, wybudowane w dzielnicy Łowicz-Przedmieście. Znaczenie gospodarcze „Syntexu” jest duże, ale równie ważna jest funkcja wychowawcza zakładu. Zakłady dają pracę i chleb wielu rodzinom. Ale ważny obserwator dostrzeże inne, niemniej znaczące zjawisko. Oto w zakładzie pracują przeważnie młodzi ludzie. Dla wielu jest to pierwsze zetknięcie się z dużym zakładem przemysłowym. Pierwsze spotkanie z nieznanym rodzajem pracy, nową maszyną, organizacją pracy, z biblioteką, domem kultury. Ci młodzi ludzie, pochodzący ze wsi, uczą się w zakładzie zawodu i nowego sposobu bycia. Uczą się, jak by powiedział autor powieści „W słońcu”, myśleć po nowemu i chodzić po nowemu. Stwarza to nie raz rozmaite konflikty i sytuacje życiowe. Nie gdzie indziej, jak właśnie w tym zakładzie, można zaobserwować charakterystyczny proces przyswajania sobie nowych form i sposobów życia. Łowicki „Syntex” ma znaczenie gospodarcze i społeczno-polityczne zarazem. Uczą „pracować” i jest szkołą wychowania obywatelskiego.

A oto nowe domy, wybudowane w ostatnim czasie w Łowiczu, „Osiedle XV-lecia PRL”; i jeszcze jedna kolonia nowoczesnych domów — osiedle „Tkaczew”. Podobne można spotkać i w innych miastach czy miasteczkach. Nie zmieniają one krajobrazu miasta, które w ogólnej perspektywie pozostają wciąż w cieniu starej architektury i to chyba dob-

rze, że tak jest. Ale w mieście spotykamy się jeszcze z parterową zabudową, są uliczki jakby żywcem wycięte z przedwojennego albumu, domy okolonie płotami. Przecież te gmachy, które wciąż powstają, świadczą o trosce władz o potrzeby mieszkańców Łowicza.

Miasto liczy dziś około dwudziestu mieszkańców (w 1946 roku — blisko czterdzieście tysięcy), potrzeby są więc duże. Zadania, jakie w tym zakresie stawiają przed sobą władze miasta, zmierzają do obniżenia wskaźnika zagęszczenia na jedną izbę. Na tym polu nastąpiła już pewna poprawa, zagęszczenie na jedną izbę zmalało w Łowiczu w ostatnich latach z 1,94 do 1,45. Poprawa nastąpiła także w zakresie gospodarki komunalnej. W roku 1970 blisko połowa mieszkańców korzystała już z sieci wodociągowej. A należy pamiętać, że po wojnie budowano tę sieć od początku. Przed wojną na terenie województwa jedynie Piotrków Trybunalski posiadał sieć wodociągowo-kanalizacyjną. Łowicz posiada dość dogodne połączenia ze światem, kolejowe i samochodowe, przeprowadza się elektryfikację kolei (Łowicz łączy pociąg elektryczny ze Skierniewicami i z Łodzią, modernizuje się stację). Ułatwienia komunikacyjne umożliwiają korzystanie z ośrodka miejskiego, jakim jest Łowicz, jako źródła zaopatrzenia i rozrywki dla mieszkańców wsi, ale ułatwiają także kontakty miasta ze wsią, która przecież także zmienia swoje oblicze, urbanizuje się, zbliża do miasta.

Łowicz jest znany jako siedziba zespołów amatorskich, które są organizowane przy większych zakładach pracy, jak na przykład przy „Syntexie” (dobry zespół wokalo-muzyczny), Łowicki Zespół Pieśni i Tańca jest popularny w kraju i za granicą. W Łowiczu działa Stowarzyszenie Przyjaciół Ognisk Artystycznych (w ramach działalności Wojewódzkiego Towarzystwa Upowszechniania Kultury), które krzewi zamyłowania muzyczne, taneczne, plastyczne. Działają także w Łowiczu Ognisko Muzyczne, które, mimo trudnych warunków lokalowych, ma za sobą ciekawe osiągnięcia. W ognisku stnieją dwa zespoły muzyczne: akordeonowy pod kierunkiem nauczyciela Ogniska, Piotra Cechy, i instrumentalny, pod kierownictwem Dyrektora Ogniska, Tadeusza Klimczaka. Zespoły osiągają sukcesy na konkursach i eliminacjach powiatowych, biorą udział w dorocznych popisach w Filharmonii Łódzkiej. Rozwija ożywioną działalność Towarzystwo Przyjaciół Łowicza, które grupuje ludzi rozmówionych w miejscowym folklorze, zabytkach, historii miasta. Osiągnięcia ma także Towarzystwo Przyjaciół Muzeum w Łowiczu, które pielęgnuje zamyłowania do sztuk pięknych i zajmuje się ochroną zabytków kultury. Samo Muzeum, mieszczące się w dawnym gmachu pomieszkaniowym z końca XVII wieku. W czasie ostatniej wojny gmach został zniszczony prawie w całości, po wojnie jednak został zrekonstruowany; odbudowano trzy skrzydła, zachodnie, południowe i północne. Turysta, który zwiedza miasto, nie ominie Muzeum, w którym zapozna się z historią i sztuką regionu oraz kulturą ludową. Jest wielu twórców ludowych, mieszkających w Łowiczu i na wsi łowickiej, którzy w różny sposób u-

piększają swoje domy i obejścia, tworząc oryginalne dzieła artystyczne.

A oto powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna. Biblioteka została zorganizowana we wrześniu 1946 roku. Nosila wtedy miano Powiatowej Biblioteki Publicznej. Księgozbiór liczył zaledwie 650 tomów. Do końca 1948 roku zorganizowano sieć bibliotek publicznych w powiecie oraz kilkadziesiąt punktów bibliotecznych po wsiach. W tym okresie otwarto na nowo Miejską Bibliotekę Publiczną w Łowiczu z księgozbiorem liczącym 1553 woluminy. W roku 1955 połączono Powiatową Bibliotekę i Miejską Bi-

bliotekę w jedną placówkę. Pierwszym kierownikiem Biblioteki została Maria Wyczółkowska. W roku 1958 Biblioteka otrzymała nowy lokal w gmachu Muzeum. Następuje dalszy rozwój sieci bibliotecznej w powiecie i punktów bibliotecznych. W roku 1971 liczba bibliotek w powiecie wyniosła 39, punktów bibliotecznych 155, księgozbiór liczył 169,021 woluminów, na jednego mieszkańca przypadało 1,6 tomów, procent czytelników w stosunku do liczby mieszkańców — 22,9. Księgozbiór Powiatowej i Miejskiej Biblioteki tylko w Łowiczu według stanu na dzień 30 czerwca 1972 roku liczył 40.735 tomów. Oprócz działalności związanej z udostępnieniem książki czytelnikowi (od 1972 roku Biblioteka posiada w Łowiczu swoją filię przy ul. Kurkowej), służyła informacyjno-bibliograficzną i szkoleniem zawodowym Biblioteka prowadzi różnorodne formy pracy oświatowej w Łowiczu i powiecie, organizuje wystawy książek, prowadzi akcję spotkań z pisarzami.

A oto szkoły Łowicza. Jedne mieszczą się w zabytkowych gmachach, inne w nowo wybudowanych. W mieście znajduje się 5 szkół podstawowych, 1 Liceum Ogólnokształcące, 1 Liceum Medyczno-Pielęgniarskie, Technikum Ekonomiczne, Zasadnicza Szkoła Handlowa, Technikum Mechaniczno-Elektryczne, Zasadnicza Szkoła Zawodowa, Technikum Rolniczo-Hodowlane w Blichu i Rolniczo-Korrespondencyjne oraz Zasadnicza Szkoła nr 2. Rodzaj szkół jest wiele mówiący. Łowicz posiada tylko jedno liceum ogólnokształcące, inne szkoły kształcą specjalistów do różnych dziedzin gospodarki. W dziedzinie szkolnictwa osiągnięcia Łowicza za-

ślugały na uwagę. Przeprowadzono rejonizację szkół podstawowych, zadano o rozwój szkolnictwa zawodowego, o dobór wykwalifikowanej kadry pedagogicznej. Wyniki w pracy dydaktyczno-wychowawczej są wysokie. Dla przykładu, szkoła podstawowa nr 4 w Łowiczu została uznana za jedną z najlepiej realizujących program postępu pedagogicznego w Łowiczu.

Interesującym przykładem jest także Technikum Rolniczo-Hodowlane w Blichu. Tradycje tej placówki szkol-

straciło około 33 procent swoich obywateli, podniosło się z upadku, zaleczyło rany i rozwija się. Wprowadzenie odgrywa w gospodarce województwa naczelną rolę, należy do mniejszych miast powiatowych, ale przecież jego funkcje polityczne i kulturalne są coraz bardziej widoczne, a i osiągnięcia gospodarcze znaczące. Łowicz rozwija się, rośnie, jego znaczenie jako centrum handlowego, przemysłowego i kulturalnego dla najbliższego terenu jest duże. Zmiany społeczne i gospodarcze, które zachodzą na wsi powojennej, mają ścisły związek z przemianami zachodzącymi w mieście. Odnosimy to, oczywiście,

W cieniu starej architektury

nej są bardzo bogate, sięgają czasów ostatniego króla Polski i jego brata, Michała Poniatowskiego, który miał swój zamek w Łowiczu i założył tu fabrykę płótna. Akcjonariuszem tejże obok prymasa i innych wielmożów był sam król. Działo się to w okresie gorączki przemysłowej, która ogarnęła niektóre światłocenne umysły. Manufaktury sukienicze rozdziły się jak na drożdżach. Robotnikami byli głównie poddani, przeważnie chłopci. Nie gardzono przymusową pracą sierot, żebraków, więźniów. Słynna była w tym czasie szkoła podskarbiego nadwornego Tyzenhauza, w której dziewczęta „z samej krnąbrności i płaczu chorować musza”. Fabryka królewsko-prymasowska po upadku powstania kościuszkowskiego, na które oddała znaczne zapasy swoich wyrobów, zaczęła się chylić ku upadkowi. Po drugim rozbiore Prusacy ją całkowicie zdewastowali. Ziemia „Blichu” zmieniała kilkakrotnie właścicieli, zanim w roku 1918 przeszła w ręce Rzeczypospolitej. Z dniem 14 lutego 1923 roku została oddana Łowickiemu Samorządowi Powiatowemu na użytek szkoły rolniczej. Do tej tradycji nawiązano po drugiej wojnie, organizując w starym, pięknym gmachu, który projektował architekt Porczyński, Liceum Rolnicze, dziś przekształcone na Technikum Rolniczo-Hodowlane. Szkoła wydała już wiele roczników młodzieży o różnych specjalnościach zawodowych. Niektórzy z nich pokonczyli studia wyższe, inni pracują w Łowiczu i na wsi łowickiej.

Tak oto niektóre tylko sprawy i rzeczy, które turysta może obejrzeć w Łowiczu. Miasto, które poniosło olbrzymie straty w czasie wojny,

do dużego, uprzemysłowionego centrum, jakim dla swego regionu jest miasto wojewódzkie, ale te same procesy (w odpowiedniej skali) można zauważyć i na przykładzie małego powiatowego miasteczka. Rozwój rynku i przemysłu prowadzi do wianowania się t.ż. wsielskiego z ośrodkami handlu i przemysłu w mieście. Rozwój komunikacji i łączności upowszechnia miejskie wzory kulturowe. „Upowszechniają się na wsi, urządzenia kulturalne, będące dotąd udziałem głównie mieszkańców miasta: biblioteki, kina, radio, prasa ilustrowana, telewizja, kluby itp. Wchodzą na wies powoli urządzenia właściwe nowoczesnej cywilizacji przemysłowej: elektryczność, komunikacja, sieć zaopatrzenia, przedmioty przemysłowe codziennego użytku (różnego rodzaju sprzęt gospodarstwa domowego), urządzenia komunalne (ośrodki zdrowia, przedszkola, łaźnie, piekarnie spółdzielcze, pralnie, itp.)” — pisze Bronisław Gołębiowski w „Kulturze i życiu społecznym wsi” (Iskry, 1964, s. 33). I cokolwiek by można powiedzieć dzisiaj o rozwoju małych miasteczek, a także wsi, które upodabniają się do miast, dochodzą do ich przedmieść, małe miasto jako najbliższe centrum handlowe, kulturalne, oświatowe, jako centrum także polityczne, oddziaływa i promieniuje na wies różnymi kanałami, jego znaczenie rośnie w tym samym stopniu, w jakim rozwija się sąsiednia wies. Łowicz jest w tej szczególnej sytuacji, że posiada ponadto barwę i urok miasta owianego pamięcią historii i tradycji ludowej.

TADEUSZ PAPIER

Są to wrażenia z podróży, która mimo ogromnej rozmaitości i wielości poznanych krajobrazów, ludzi i ich spraw, problemów tego świata była w gruncie rzeczy nudna i nużąca. Podróż tę odbyłem, nie ruszając się z miejsca czyli z fotela w sali kina „Kijów” w Krakowie, gdzie w dniach od 1 do 9 czerwca odbywał się XI Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. W sumie okrągłą dobę trwały projekcje 93 filmów, które prezentowały 32 kraje i ONZ w tegorocznej krakowskiej paradzie krótkiego metrażu.

Taka porcja dokumentalnych reportaży, impresji, portretów czy filmów oświatowych może się wydać dla zwykłego amatora ekranowej fikcji morderczą, on bowiem traktuje w kinie „dodatek” jako zło konieczne, jako uciążliwy hacracz niepotrzebnie podtykany mu przy wstępie do krainy uludy — bez możliwości zmiany kanału lub wyłączenia obrazu, co zwykle praktykuje w takim wypadku przed telewizorem. Jedynie dowieczne filmy animowane są tolerowane bez grymasu nudu.

Kompleks „dodatek” dręczący krótkometrażowe filmy i ich autorów znika na czas festiwalu, który ściga tłumy publiczności (to co, że branżowej) wyłącznie dla nich i honoruje wybranych tro-

feami i gotówką. Z tym wszystkim krakowski festiwal nie dał się ponieść próżności, która zwykle towarzyszy podobnym konwentykom świata filmu, lecz zachował — jak głosi tradycja — cechy roboczego spotkania środowiska twórców i krytyków, gdzie toczy się spór o wartości, idee i formy. Powołuje się na tradycję, ponieważ w tym roku tego dyskusyjnego zarzewia wyraźnie zabrakło. Zabrakło twórczego fermentu, który dawniej wskazywał na ciągły niepokój filmowej awangardy. Kraków był do tej pory — obok Oberhausenu — dogodnym punktem obserwacyjnym ideowo-estetycznych fluktuacji małych form filmowych. Ten typ twórczości ze względu na niewielkie ryzyko

produkcyjne spełniał rolę artystycznego laboratorium dla kina o normalnych wymiarach. Tutaj nieograniczone prawo do eksperymentu związane z inwazją amatorów wycięło przy spontanicznym aplauzie młodej publiczności triumf prowokacji, kontestacji, świeżości estetycznej, tematycznej odkrywczości — a przede wszystkim skandalu za wszelką cenę.

Kraków zawsze był festiwalem bardziej spokojnym i nobliwym aniżeli Oberhausen, ale przecież i tutaj w ubiegłych latach unosił się rewolucyjny duch kina jako głęboko indywidualnej i krytycznej wypowiedzi o świecie. Oż w roku obecnym wypadła odnować powrót wyczerpanie awangardy, coś jakby kres tego impetu, którym nie tak dawno zachwycała i oburzała. I ten kryzys żywiołowości jest widoczny nie tylko z podwawelskiej perspektywy, gdyż zwyczajowo, gościnny występ nagrodzonego zestawu z Oberhausenu zalecał się jedynie solidnością wykonania. Przy czym nie jest to typowy kryzys nowatorów, który zwykle polega na manierystycznym eksploatowaniu raz odkrytych formuł i tematów, ale powrót do dawnych zainteresowań relacyjnych z wrecz akademickim umiarem. Jakby czas nie tylko stanął w miejscu, ale cofnął się o kilka lat wstecz.

Wystudzeniu temperatury ekranu towarzyszyła w Krakowie apatia publiczności, która bezmyślnymi oklaskami nagradzała wszystkie nieomal filmy — nawet te najbardziej irytujące i idiotyczne. A tych było nadspodziewanie dużo, prawdziwie morze zalosnej tandety, ideologicznego prymitywu i filmowego analfabetyzmu. Kilometry topornej amatorystyki przesuwały się monotonnie przed usypiającą publicznością i jedynie niekiedy, w długich odstępach czasu załśnił oryginalny pomysł, błyskotliwa realizacja czy frapująca sugestia problemowa.

Zenujący poziom większości festiwalowych filmów wywoływał dręczące pytania sfrustrowanej publiczności o kryteria selekcji do festiwalowego konkursu. W tych pretensjach kryło się milczenie, choć niesprawdzone przekonanie, że nie mogą istnieć filmy jeszcze gorsze.

Czy można bowiem wyobrazić sobie film zrealizowany bardziej pseudonobielnie aniżeli włoski melodramat „Człowiek jak ty”, który polegał na długim eks-

ponowaniu twarzy bohatera o beznadziejnie cieleczym wyrazie, a ów bohater wspomina w ciągu szablonowych retrospekcji chwile spędzone ze swoją ukochaną, pod koniec zaś półgodzinnej wspomnianą przedstawia nam się — ni stąd, ni zowąd — jako rewolucjonista. Względna wartość tego filmu był niezamierzony komizm rodzący się z naiwnego aktorstwa i z kiczowatego nastroju.

Inny przykład dna, gdzie chyba już nikt od spodu nie zapuka: zachodniomemiecka „Flurstrasse” była montażem

niż konwencjonalne oklaski. Wymierzmy im sprawiedliwość przy pomocy podstawowego pytania egzaminującego wartość dzieła sztuki: jaką przynosią wzięcia świata i człowieka?

Odpowiedź najbardziej klarowną i zwięzłą w artystycznych definicjach przyniosły filmy animowane, które tradycyjnie już stanowią najbardziej malowniczy półwysep krótkometrażowego kontynentu. Najbardziej interesujące filmy animowane festiwalu łączyło przekonanie o cywilizacyjnych przesłach naszej epoki nad ludzką tożsamością

W 24 GODZINY

kilkudziesięciu ujęć miasta, z których dosłownie nic nie wynika poza najgorszymi obelgami pod adresem autora. Niestety, takich przykładów było bardzo dużo i one nadawały ton festiwalowi, ciągnęły go w dół, przyłaczając filmy ciekawe, wartościowe, a nawet wybitne.

Bodaj po raz pierwszy w historii krakowskich festiwali międzynarodowe jury obradujące w tym roku pod przewodnictwem Jerzego Hoffmana w konkluzji werdyktu zaapelowało o podwyższenie progu selekcji, gdy obecna tolerancja może ujemnie wpłynąć na prestiż i znaczenie festiwalu.

Trudno jednoznacznie osądzić w jakim stopniu w minionym festiwalu odbiła się sytuacja krótkiego filmu na świecie, a w jakim stopniu za stan rzeczy odpowiadała organizatorzy. Poziom krótkometrażowej konfrontacji jest wypadkowa tych dwóch sił i ich współdziałanie zdecydowanie o przyszłych losach tego jednego międzynarodowego festiwalu filmowego w Polsce.

Dość krakania. Najistotniejsze bowiem znaczenie dla zdrowia imprezy mają filmy, które wyznaczają górny pułap możliwości artystycznych, proponują głęboki dyskurs o świecie współczesnego człowieka i zaskakują oryginalnością konstrukcji. Były takie filmy, które wyrwały widza z odrętwiającej obojętności, zmuszały do uwagi i zachęcały do gorących braw bardziej szczerych

jednostki. To zagrożenie najprecyzyjniej wysłowili laureat Grand Prix czyli radziecka „Wyspa” reżyserii Fiodora Chitruka — groteskowa opowieść o rozbitku z bezładnej wyspy, wokół której koncentrują się znamienne przejawy działalności człowieka XX wieku: samobójczy rozwój motoryzacji, afery kryminalne dewastacja środowiska naturalnego, wojny itp. I nie ma tumaniejsza na pomoc dla samotnego człowieka. W zakończeniu filmu do wyspy podłyna uciepiony deski inny rozbitek i dopiero on zabiera nieszczęśnika. Wzruszający humanizm tej pointy zastanawiająco kojarzy się z najsłabszymi i najsłabszymi radzieckimi filmami psychologicznymi, w którym najprostszym odruch ludzkiego współczucia, przyjaźni i serdeczności miał cenę najwyższą.

Kanadyjczycy natomiast pokazali oparty na autentycznym wydarzeniu komiks o rybacciej rodzinie, która żyła szczęśliwie na wyspie bezładnej do czasu, kiedy akcja pomocnicza wojska i policji nie przyniosła im zagłady. Ten sam watek myślowy podejmowały dwa utwory amerykańskie: „Szeryf film” Franka Mourisa i „Wielej” Mitchela Rose’a, lecz formuła go z satyryczną intencją wobec amerykańskiej ideologii konsumpcji i sukcesu. Filmik Mourisa jest opowiadaniem w pierwszej osobie biografią przeciwnego Ameryka-



Dalszy ciąg ze str. 1

przeleśne grunty piętej i tej szóstej najgorszej klasy. Dębica, Bogumiłów, Kamień, całe wioski idą już w ruinę, bo właściciele z czego ludzie mają tu żyć?

Istotnie, dziw bierze. Jakim to cudem ludzie na tych ruchomych po części wydychanych wydechach zdolali? Te pola wokół są właściwie dla chłopstwa bez serca. Jak kto z nich zbierze trochę lichych kartofli, nieco niedźwiedzią wszakże dzieją się na tym świecie rzeczy. Bo jak się dobrze przyjrzeć to się zauważy że za rachitycznych sosenek przeświecają czerwone mury nowitkich zabudowań porządnie krytych blachą albo eternitem. Bo jak się wzrok natęży, to można na tych ugorach dostrzec zagrody ujęte w czworobok, ze stodołą od tyłu, pełne różnych przybudówek nader dla oka miłych. Ci ludzie, którzy żyją na piachach, muszą być zatem niebawem pomysłowi, zaradni i oszczędni. Przecież z nieba im domy na łono nie spadły. Sami zapracowali.

A co będzie jutro? Przebyłszy nowego widać już dzisiaj.

Uważny obserwator zobaczy wieże wiertnicze, które powytłkane w ziemię jak strachy na wróble stoja tu i tam w szczytach zupełnie polu. Dojrzy długi rząd ciężarówek przepychających się ku polaniu po rozkopanej drożynie. Zobaczy stalowe rury zmyślnie poskładane pod brzezinką. Ten ruch

na drogach — przypadkowy nie jest. Wiąże się z pewnym odkryciem, którego w tych okolicach dokonano przed laty. Z głębokiego odwiertu pod Kleszczowem wydobyto rdzeń. Zamiatany w czarno-czarny węgiel brunatny. Na razie trwają roboty przygotowawcze, a na razie jest to gromadzenie

MILIONERZY

sił i środków do szturm, który ewentualnie nastąpi. Te ekipy, które tu już busują, tylko przedpole oczyszczają, tylko tu i tam wysyłają zwiadowcze wciąż czujki. Choć to jedynie wstępne poniekąd kroki, te pierwsze krople złotego deszczu jednak na te wysuszone i nad wyraz ubogie ziemie pospadały. Na wielki deszcz trzeba jeszcze zaczekać. Wielki złoty deszcz. Spadnie wtedy, gdy ruszy tu wielka, przyszłościowa, wielomiliardowa inwestycja. Czy ruszy? Czas pokaże... Ci pierwsi milionerzy już się pojawili. Radzono mi Rogowca za Władowką, przeto do Rogowca próbuję dotrzeć przez zabagnione drogi i rozkopane ciężkim sprzętem przejazdy.

Soltysa Brauna z Rogowca odnajduję przy furmance. Wybiera się w dro-

700 tysięcy, a sporo groźna jeszcze dojdzie.

Próbuję zażartować:

— Więc można powiedzieć że jest pan jakby milionerem —

Braun usiłuje też się uśmiechnąć — ale nie bardzo mu to wychodzi.

— Milion niby jest, ale kłopot na głowie też jest nie byle jaki.

— Co dalej?

— No właśnie, co dalej... Biorę pod uwagę różne możliwości ale jeszcze się nie zdecydowałem, w którą stronę się zwrócić z tymi pieniędzmi. Kusza, poddawiają, ale czy to wiadomo czego się trzymać? Trzeba ostrożnie, żeby jak i cwanik nie wystawił do wiatru.

Jak zachwaja pieniądze to jak te muchy do miodu. Pełno różnego narodu tu się kręci.

— Może warto by się rozejrzeć za nową jakąś gospodarką?

Braun popatruje na robotników niwelujących spycharką teren pod lasem.

— Może by i warto, ale ja panu powiem, to tak jakby się zaczynało życie od nowa. A ci w Piaskach co robią?

Z Rogowca do Piasków nie jest znow tak daleko. A w Piaskach ruch jeszcze większy niż w Kleszczowie i Rogowcu. Zamieszkał tu geolog. Rozbili namioty w samym środku wioski. Przewiercają ziemię. Badają i analizują. Robią notatki, wykresy, porównują i coś tam jeszcze sprawdzają. Jak to się mówi, sto razy przemierz zanim raz utniesz. Piaski... już sama nazwa daje do myślenia. Bo też piachy tu niemożliwe. Bardziej tujejsi wieśniacy żyją z lasu niż z roli, bardziej z tego co zbiorą w przepastnych borach niż z tego co zwiozą z tych prawie lotnych piasków.

Leon Kokociński, którego rodzina mieszka w Piaskach od niepamiętnych czasów, jest dobrej myśli.

— Coś mi na to wygląda — mówi — że cała wieś pójdzie pod młotek.

— Nie żal ojcowizny?

— E... czego tu żałować...

— Czy jakieś zagrody zostały już przez komisję oszacowane?

— Tak, pierwsze mają być wykupione ziemie Chameczyka i Olbromskiego.

— Co z cenami?

— Ceny? Panie, co tu dużo mówić, ani tu kto myślał, że za te piachy tyle dostanie. Wychodzi na to, że nie jeden załapie po całym milionie.

— Pan?

— Chyba też. Państwo płaci po królewsku. Bo też pod tymi piachami dopiero leżą bogactwa, no nie? Mówią, że u nas pokład najgrubszy... Już

tu się zaczęło. Setki ludzi przy otworach. Władowkę mają okrecać, lasy rzną, wszystkie piły już grają...

Wokół stoja co inni włoskowi gospodarze i głośno się śmieją. Mają z czego. Chyba w czepku się urodzili. Za ziemię piątą i szóstą klasy biorą królewskie pieniądze. W głowie się może zakręci. Wszyscy oni, ci gospodarze widzą już się milionerami. I nie są to wcale sennie rojenia. Rzeczywiście, milionerami zostaną. Raptiem wszyscy oni poważnieją. Przystępują z nogi na nogę. Wiosna się zaczęła, a oni się szarpia. Jedni mówią to, drudzy tamto, metlik z tego taki w głowie, że człowiek dostaje kolowaczyny. Kokociński rozpinia kożuszek, jakby mu się zrobiło nagle gorąco i powiada:

— Fama poszła szeroko, że Piaski się bogacą. Przyjeżdżają tu do nas różni tacy ludzie, mówią, że ziemię mają do sprzedania w Radomszczańskim, że na szklarniach można zarobić pod Ksawerowem, że to i tamto. A listów ile przychodzi, aż spod Opola piszą...

Mam przed oczami farbiarza z Pabianie i doskonale dlatego rozumiem rozterkę tych rolników. Nie ma pieniędzy — bida. Są pieniądze też bida, bo nie bardzo wiadomo w co je powdziwiać. Pieniądz może wyprostować może też zwiechnąć i pokrzywić już do końca życia. Pieniądz dobry sługa, ale zły niekiedy przewodnik. Jeszcze te miliony na Piaski nie spłynęły, a ile rąk już się wyciąga. Córka nleaga, żeby ojciec mieszkanie jej kupił w mieście Łodzi, syn wola o domek w Zdunskiej Woli, siostra co jest w Łasku już się widzi w polskim fiacie, a ci inni krewniacy. Boże ilu się ich znalazło, nie tylko molestują o pożyczki. Tak tak... gdy pieniądze wiele wokół samych przyjaciół.

Łatwy pieniądz nikomu jednak szczęścia nie przyniósł... chyba, że rozsądnie będzie zainwestowany. Farbiarz z Pabianie i ci inni jednodniowi milionerzy. Byli bogaci. Teraz są jeszcze ubożsi niż byli przed tym to-lotkowym milionem. Spadli, a że spadli z dużej wysokości, więc upadek odczuli boleśnie. Są okaleczeni. Te rany są na duszy. Zablżyli się owsem, czas robi swoje, lecz ból pozostał, odżywa się wciąż od nowa. Czy więc nie należałoby już dziś pomyśleć o jakiejś służbie doradczą dla tych wszystkich rolników, których grunty mają być w dolinie Władowki ewentualnie wykupione? Tym razem trzeba pomóc w podjęciu decyzji. Niech te miliony padną na urodzajną glebę, niech zaowocują...

Rolnicy z którymi rozmawiałem to ludzie w sile wieku. Są twardzi i nieustępliwi. Wychodzą zwycięsko w zmaganiach z najtrudniejszymi warunkami. Mają wszyscy gruntowną znajomość spraw roli. Byłoby duża strata, nie tylko dla nich, gdyby ze swymi milionami ugrzęźli gdzieś w dużych miastach, kiedy tyle jest gospodarstw zaniedbanych na ziemiach doprawdy znakomitych. Na dobrych glebach ci ludzie mogliby sami siebie własną pracą nobilitować do rangi wybitnych z całą pewnością rolników — specjalistów.

Trzeba rozsądnie, a rozsądka za pieniądze nie kupi...

JAN BABIŃSKI



MEKA NOWOCZESNOŚCI

W ramach Wiosny Artystycznej publiczność miejscowej filharmonii zmuszona została do wysłuchania kilku nowych utworów kompozytorów łódzkich. Otrzymała, kosztowna i uśmiechnięta orkiestra przez niecałą godzinę pomagała narodzić się trzem dziełkom epigoniom, nieudolnie skrywającym się za parawanem tak zwanych Nowoczesnych Poszukiwań. Niech moja opinia będzie tylko do pogłębienia mało przychylnego przyjęcia przez łódzką publiczność najnowszych dokonań kompozytorskich, których tym razem — mimo sympatii dla przejętych praktykowaniem twórców — słusze nie chłaniać, nie potrafić docenić.

Na wyżyny epigoniństwa, wtórności, artystycznego wymigiwania się i braku odpowiedzialności za puskie „dwieko-wych malowane”, postępuję to sowskich młodych koloków, impresyjności i estetyzowania, na wyżyny plekudochostwa wspiął się autor „Memento”.

Twórce uśmieciła niechęć, a może inaczej — niewykształcona troska o formę, brak szacunku dla intelektualnej dyscypliny i artystycznych rygorów. Bo nie wystarczy rozepchnąć utworu kolorowym, instrumentalnym bełkotem, kończąc całą tę rzecz „niezwykle świeżym” pomysłem — podwójnie wspomnianym „rabieniem” orkiestrowego tutti w fortissimo, rekompensując niedostatków treści i formy tym, że choć nie koniec — głosno, nagle i jednoznacznie...

Tęgi wierzur kompozytor zrobił sobie

głową o ostrą kant Finatu, który ni stad

ni zowad beczelnie zaskoczył wszyst-

kich. Twórca jakby przypisał „gebe”,

sluchaczom uświadomił płochość nadziei,

jakoby „dawka ostrości” można było

złiwować rozmamianiem...”

Efektarstwo, powtórki i alatorystyka,

technika kontrastów eksploatowana w

nieskończoność (choćby — przełwista-

wienia dynamiczne faulencje) impre-

syjność flutu „szorstkość” swerbia,

smyczkom — krzyk blachy itp.), niezde-

cydowanie — czy póję na pełnię „awar-

gardowości” (do tunania i wycierania

nosa na estradzie walcem), czy trzyma-

nie złotego środka (w opisywanym przy-

padku doprowadził on do niakności i

mlinactwa), powierzchowne wykorzysty-

wanie przebogatego leżce źródła — In-

strumentów nerkusjnych (częstym i

chyba nierozważnym efektem — „es-

teyka łomotu”) — wszystko to sprawia

że nie ów — przytłoczony teoretycznie

smakosz formalnych sensów (czy bez-

sensów?), lecz nastawiony na ideową

stronę komunikatu, na głębie ekspresji i

konsekwencje myśli przełecny słuchacz

muzyki poważnej, spracowany niehale-

nych skojarzeń i twórczego odbioru

(przez przyzwyczajenie osobliwych czy

ponadosobliwych znaczeń i symboli), tkwi

nirozbudzony monokiem autora z

czelnego (czyżby rzeczywistej) w

wiat tam nie dochodził...? wierzchołka

lokalnego Parnasu; zatem znużony tkwi

i nabrany na to artystyczne hochszta-

plerstwo zwierzając się wobraźni...

Jawnie bawia się muzyką — zwłaszcza

ci najbardziej widoczni — w tyłach

głedach (co ratują się chowaniem twa-

rzy za pulpity...), w duchu, półgębkiem,

bezwiednie uśmiecha się widownia (snu-

jącą podjętą, że może to wszystko

jest po prostu do w e i p e m na jej te-

mat...?), w środku zaś w powietrzu ner-

wowe uki kompozytorskiego płodu.

Muzyka łódzkiego twórcy jest jak wy-

tworna koszula z fabrycznym błędem,

w której zapomniano o ... guzikach. Goliz-

ny w żaden sposób nie zasłoni myślowe

rozczelnianie.

TOMASZ SOLDENHOFF

Od redakcji:

List Tomasza Soldenhoffa drukujemy — jak wszystkie listy do redakcji — na odpowiedzialność autora. Być może jego pasja podtykowała mu błędne sformułowania. Gdyby czytelnicy byli innego zdania niż autor listu, chętnie te uwagi opublikujemy.



WIATRAK — akwaforta

KRYSTYNA LIBERSKA

nina (autora filmu), której w warstwie obrazu towarzyszą zmieniające się w niesłychanie szybkim tempie i rytmie kolaże różnych, zmultiplikowanych przedmiotów otaczające go w dotychczasowym życiu. Artystyczna siła „Szerego filmu” wynika z udanej próby sprzeżenia filozofii utworu z oryginalnym stylem plastycznym animacji. Tej niezwykle ważnej cechy filmu animowanego zabrakło filmom poprzednim, które wyjawiały swój sens jedynie poprzez literacką anegdotę.

Diagnozę postawioną poprzez kino

siłę z wyrafinowanego aktorstwa, które operując dyskretnym poitonom odśladania nianse ludzkiej natury.

Stad już o krok do sporej grupy filmów dokumentalnych o ambicjach psychologicznych, które w konwencji portretu usiłowały odświeżyć cinema-verite. Filmy te stworzyły wąski, ale wyraźny nurt, który można by nazwać intymistycznym. Ich formuła jest dość schematyczna i sprowadza się do skrupulatnej obserwacji ludzi prostych w trakcie ich codziennych czynności lub niezacznie insecenizowanych sytuacji. Sześćkę

Fenomen zaskakujący i godny uwagi — film dokumentalny usiłuje zdefiniować pozytywny etos człowieka i nadać mu cel wzorotwórczy. Powtarzamy: tych filmów było zaledwie kilka, ale ich humanistyczne znaczenia, właśnie dlatego, że wyrażały z okruczeń potężności składowały się na piękny portret człowieka — godności. Oto one: węgierski „Młynarz nad czarnej rzeki” — medytacja nad przeżytym życiem 96-letniego młynarza, radziecki „Tramwaj idzie po mieście”, a monologuje prowadząca go tramwajarka, czeski „Kasiarz” Jaromila Jiresza (Srebrny Smok) — prawie hrabalowska historia przedwojennego kasiarza, który odzyskał zaufanie ludzi i spokojnie starość spędza jako strażnik państwowego mienia i wreszcie polski „Pierwsza miłość” — Krzysztofa Kieślowskiego — głęboko wzruszający portret pary młodych ludzi oczekujących

przyjścia na świat dziecka (nagroda specjalna).

Docieranie do pierwotnych wartości egzystencjalnych poprzez materię kina fascynuje również filmowców jugosłowiańskich, którzy przedstawili bogaty, bo złożony aż z ośmiu pozycji program. Dwa z tych filmów chciałbym wyróżnić ze względu na frapujący sposób formowania filmowego tworzywa w przekaz metaforyczny niejednoznaczny, tajemniczy. Ten typ konstruowania humanistycznych znaczeń jest bardziej skomplikowany niż w poprzednich dokumentach o charakterze realistycznym. Znacznie trudniejszy jest również ich opis, gdyż ich filmowa specyfika z trudem poddaje się wystawieniu. Te dwa tytuły to: „Pulapka” Aleksandra Iliea (Nagroda Specjalna) i niedoceniony przez jury „Wyciskający oliwkę” Nikoli Babica. „Pulapka” opisuje dość niezwykle sposób łowienia ptaków, który polega na ustawieniu klatki ze śpiewającym ptakiem w krzakach wysmarowanych klejaka mazia; wolne ptaki zwabione śpiewem uwiecznionego w klatce siadają na gałązkach krzaków, przyklejają się i trafiają do niewoli czającego się w pobliżu człowieka. Kamera Iliea opisuje ten proceder niezwykle pedantycznie, bez słowa autorskiego komentarza i o to powoli, niepostrzeżenie z dość prostego faktu polowania na ptaki wyłania się sens znacznie głębszy aniżeli stwierdzenie prostej rejestracji zdarzenia, budzący rozległe, ale trudne do bliższego określenia skojarzenia. W przejmującym blisku uwiecznionych ptaków, w ich pełnym bolesnej ekspresji obrazie rodzi się wielka metafora utraty wolności i zagrożenia. Wobaniali, niezaomniani film.

Podobna metoda metaforyzacji opisywanej rzeczywistości posługuje się utwór Babica „Wyciskający oliwkę” („Gaziovac”). Tym razem przedmiotem skupionej uwagi filmowca jest stary dalmatyński obyczaj wyciskania oliwy z oliwek bosymi stopami przez człowieka utrzymującego siebie i swoją rodzinę z tego zajęcia. Wycisnienie jednego worka oliwek zalewanego wrzaskiem trwa około 3 godzin. W ciągu jednego dnia wyciskający wytłacza około 5 worków. Jest to więc niesłychanie ciężka praca! Narastający trud tego zajęcia jest tu fotografowany z ogromnym pietizmem. Kamera stopniowo zaczyna się

wpatrywać uporczywie tylko w stopy człowieka, koncentruje się na samej czynności wyciskania, które w miarę upływu filmu nabiera charakteru rytualnego, staje się magicznym związkiem człowieka z kształtowana materia.

Olśniewająca prostota obu tych filmów bierze się z niezwyklej precyzji montażowego obrazowania, które stopniowo przechodzi od opisu do metafory. Do tego typu konstrukcji zbliżał się również inny film jugosłowiański „Ro-



botnik ziemny” („Kubikas”) jednakże brak równie silnych rygorów dyskursu na rzecz pewnych chwytów reportaży- wych pozabawil ten film równie sugestywny silny.

Już tylko z racji sprawozdawczego obowiązku wymieniam grupę filmów — portretów artystów: a więc NRD-owski „Pablo Neruda” wyróżniony Srebrnym Medalem CIDALC-u, czeskosłowacki „Martin Jonas” — ładny dzięki urokliwemu malarstwu niedzielnego artysty, polski „Roman Cieslewicz” — wybitny

grafik-plakacista widziany poprzez atmosferę współczesnego Paryża, gdzie mieszka i pracuje i drugi polski — niech wolno mi ten utwór tu zaszerzować — „Punkci widzenia” Kazimierza Karabasa. I właśnie ten film z grupy artystycznej podobal mi się najbardziej, mimo iż nietypowy dla tej kategorii, bowiem pokazuje prowincjonalne, zapyzale w swojskiej nudzie miasteczko, a w nim klub młodych fotografików-amatorów, którzy z tej nudy potrafią sfo-

tografować czystą poezję. Film Karabasa został przyjęty bardzo wstrętnie przez publiczność. Dla klasyki polskiego dokumentu panuje w Krakowie od 1971 roku tj. od słynnej kontestacji młodych niedobra i niesprawiedliwa atmosfera. Ale w tych od razu zamierzających oklaskach po filmie Karabasa i frenetycznej owacji po „Pierwszej miłości” jest signum temporis.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Gamski drzemał w niewygodnej pozycji. Głowa wciśnięta w zgięcie ramienia obejmującego oparcie ławki. Usiadł przy nim, szturchając go w bok. Obudził się. „A, to ty? Co się stało? Dlaczego nie mówisz?”

Pochylił się nad nim. „Czy zdarzyło ci się widzieć coś lub przeżywać, co?” — odezwał się i utknął.

„Co przeżywać? zainteresował się. Jak to rozumiesz?”

„Przeżywać coś, co na przykład jest poza zasięgiem świadomości?”

„We śnie?”

„Niekoniecznie”.

„Nie rozumiem. Czekaj. Miałem kiedyś takie wrażenie, jakbym widział już dawniej coś, co widzę po raz drugi w podobnych okolicznościach, ale jak gdyby gdzieś indziej i w innym czasie.”

„To co innego. Twoje wrażenie to la sensation des choses deja vu”.

Siedząc koło Gamskiego starzec przysłuchiwał się z uwagą naszej rozmowie.

„Czy nie chciałbyś odetchnąć świeżym powietrzem u mnie w ogrodzie?” — zapytał Gamskiego i twarz starego aktora rozjaśniła się uśmiechem.

Złakniony przyjaźni, wziął Gamskiego pod ramię i ścisnął kureczowo jego łokieć. Czując w palcach szorstki materiał rekawu doznawałem dotykanej rozkoszy przyjaźni bliskości żywego człowieka.

Usiedliśmy w ogrodzie na ławce. Gamski oddychał głęboko rozkoszując się czystym powietrzem. „Oaza!” — powtarzał. — „Oaza!” — Wybitny uczonec francuski Jean Dorst, prezes Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody zwiedzając Polskę chwalił nas, że znajdujemy się w czołówce krajów, które godzą ochronę przyrody i racjonalne wykorzystanie jej zasobów”. Gamski zaśmiał się ironicznie. „Z tą „czołówką krajów” to kurtuazyjna lipa. Nie ma żadnej czołówki. Na całym świecie niszczy się i zaruwa w barbarzyński sposób ziemię, wodę i powietrze. Nie ma jeszcze ani u nas, ani za granicą powszechnej społecznej świadomości potrzeby ochrony naturalnego środowiska człowieka. Nasi dyrektorzy fabryk mają dwie dusze. Jedną — na terenie swojego zakładu, a drugą — za murem fabrycznym. Za murem reklamują się jako obrońcy Przyrody przed zniszczeniem. Ale pyły i gazy ich zakładów niszczą życie w powietrzu, w rzekach i na ziemi”.

Ochrypl i mówił matowym głosem: „Najwyższa Izba Kontroli wykryła, że Huty Miedzi w Legnicy i w Głogowie podają w swoich sprawozdaniach pięciokrotnie niższą od rzeczywistej liczbę zanieczyszczeń i dewastacji, jaką spowodowały w przyrodzie. Kogo ci panowie — mordercy Matki Przyrody chcą wprowadzić w błąd? Swoje dzieci i swoich wnuków?”

Wzniósł ręce do nieba. „Boże, jeżeli istnieje, spuść karę na trucieli i morderców Twojego dzieła, które ci się nie udało i które nigdy nie należało do najdoskonalszych”.

Trzęsąc się ręką pogroził sprawcom dzieła zniszczenia. „Trucieli i mordercy! Tylko że oni się tym nie przejmują. Nie ma na nich kary. Bimbają sobie na wszelkie próby i upomnienia. Za przywłaszczenie paru tysięcy złotych ludzie idą do więzienia na kilka lat. Ale za działalność szkodliwą dla życia narodu i przyszłych pokoleń jawni mordercy chodzą z podniesionym czołem. Oto paradoks naszych czasów!”.

Podniecony, z czerwonymi plackami na twarzy, wyjął z kieszeni gazetę.

„Słuchaj!” — wzywał patetycznym głosem jak trybun ludu. „Niesławne Zakłady Włókien Sztucznych w Tomaszowie Mazowieckim zwiększyły emisję dwusiarczku węgla z czterech i pół tysięcy ton do siedmiu i pół tysięcy w ciągu roku! — czytał. Nieprawidłowa eksploatacja urządzeń zabezpieczających w Hucie Aluminium Konin spowodowała, że ścieki wypływające z oczyszczalni zawierały więcej szkodliwych substancji niż przed wprowadzeniem do urządzeń oczyszczających!”

„Nie rozumiem”, mówi, sięga po butelkę, nalewa sobie i mnie czerwonego wermutu. Wychyla połowę kieliszka i tonem domagającym się bliźszego wyjaśnienia, powtarza, „Nie rozumiem”.

„Co tu jest do rozumienia? — replikuje kłóliwie. „Brak zgody na samego siebie!” — wybucham w przystępie pijackiego rauszu.

Głasnął pojednawczo dłońą powietrze na znak, że teraz wszystko jasne.

„Nie rozumiem”, mówi, sięga po butelkę, nalewa sobie i mnie czerwonego wermutu. Wychyla połowę kieliszka i tonem domagającym się bliźszego wyjaśnienia, powtarza, „Nie rozumiem”.

„Co tu jest do rozumienia? — replikuje kłóliwie. „Brak zgody na samego siebie!” — wybucham w przystępie pijackiego rauszu.

Głasnął pojednawczo dłońą powietrze na znak, że teraz wszystko jasne.

„Ale ja byłem tym kamykiem”, upierałem się.

„Bzdurysz. Ty nie nie znacysz!” — zlekceważył mnie.

„Ja byłem tym kamykiem, który poruszył lawinę!” — wpatrywałem się zaczepnie w Gamskiego.

„Ty uważaj, żebyś i ty nie podpadł!” — ostrzegł mnie. „Nerwica nie wybieraj!” — umoczył kromkę chleba w oliwie w pudełku po sardynkach i zaczął ssać.

„A niech podpadnę! Niech zdechnę. Raz będzie koniec”.

Postawiłem na kuchni szklanki. Zaczęłem nalewać herbatę. Jakaś ciężarówka z grzmiącym przełaczaniem się po drodze. Już i tutaj zaczęły się zapuszczać wredne smoki, bestie, i trują powietrze. W dygocących rękach niosłem szklanki do stołu. Herbata wylewała się na spódki. Ciężarówka oddalała się hałas wygasił. Gamski pokazał palcem na otwarte drzwi. „Ktoś lazi po mieszkaniu!” — cęknął potężnie.

„To wiatr!” — z pijackim animuszem ruszyłem do salonu. „Jest tam kto?” — wrzasnąłem. „Bebechy wypuszczę sukinsynowi!”.

Szedłem przez ciemne pokoje. W kuzi i śmieciach dawno nie zamiatanych podłóg czołgały się za mną wszystkie moje przewinienia wobec ojca, matki, Anki, Piotra, Toli, Zanety Dykskiej, ale ja nie przyznawałem się do winy, szedłem z podniesionym czołem i deptałem moje przewinienia jak robactwo rojące się pod nogami. Wino dodawało mi werwy. Deptałem bez litości wszystkie moje grzechy spisane w długim rejestrze. Szedłem po ciemku. Nie było nikogo, Gamskiemu się coś przywidziało. Idąc z powrotem zapalałem i gasilem światła, przekręcałem kontakty a następnie wyciągałem kolejno elektryczność w stołowym, w sypialnym, w gabinecie. Nad biblioteką padł dzień. „Kto tam?” — podszedłem do regału, oparłem czoło o zestaw książek. Trafiłem młodzieńca na problemach, a przeoczyłem żywego człowieka, przyjaciela, dziewczynę. Wiodłem palcami po wypukłych grzbietach i miałem ochotę rozwałić ten papierowy mur. Ruszyłem dalej, do salonu, zapalałem i gasilem światła, które przeszkakiwały z oświetlonego pokoju do ciemnego, zapalały się i gasły konwulsyjnie. Obszedłem całe mieszkanie. Nigdzie żadnego intruza. Żadnego sędziego ani kała. Wyszedłem na werandę. Usiadłem w koszykowym fotelu. W górze migotało rozgwieżdżone niebo. Usłyszałem za plecami skrzypienie podłogi. Gamski przyszedł z kuchni. „Aaa!” — odetchnął głośno, głęboko, całą pierś! — „Piękny wieczór! Cudowne niebo! Balsamiczne powietrze!” — napawał się zapachami płynącymi z ogrodu. Nagle zwałił się na kolana całym ciężarem ciała. Zatrzeszczały deski podłogi. „Módlmy się!” — zaczął błęcić się z pijacką zalekłością w pierś. „Módlmy się o uratowanie Matki-Przyrody od zniszczenia przez bezmyślnych barbarzyńców!” — głos mu się załamywał.

„Żebyś nie zrobił się nieczuły jak pień na Przyrodę, na przeszłość i teraźniejszość!” — dodałem głośno, a może tylko wyrwało mi się z piersi, i Gamski zapytał. „Coś powiedział?” A ponieważ milczałem, kajał się w pijackim rauszu dalej: „Wybacz nam, Matko-Przyrodo”, nasze grzechy, naszą krótkowzroczność, naszą głupotę, nasze zbrodnie względem Ciebie! błł się w piersi. Amen”.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

CZYSTY NIEBO

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Plasnął dłoń w rozpusty dziennik — „masz tutaj całą listę przestępstw, którzy swoją działalnością przemysłową mordują Przyrodę i nie chcą tego widzieć!”

Złaził gazetę i schował do kieszeni. „Dojdzie do tego, że ochrona środowiska stanie się frazeologią. Świat idzie do zgliszczy! Tylko usiąść i płakać. Przedziwna wojna nuklearna niszczy ludzką zaturcja środowiska naturalnego. A nasz naiwny Apollon dziwi się, że ja mam tego wszystkiego dosyć i wołam: Zatrzymajcie świat! Ja chcę wysiąść zanim umrze Przyroda!”

Zabrałem paczkę z prowiantem, który kupiłem po drodze, i zostawiłem Gamskiego w ogrodzie. „Oaza!” — podziękował mi spojrzaniem.

Postawiłem czajnik na maszynie elektrycznej, a jajka w rondlu z wodą na gazie. Pokroiłem chleb i bułkę — angielkę. Otworzyłem pudełko z sardynkami i odkorkowałem dwie butelki wermutu, i wróciłem do ogrodu. Gamski siedział rozparty na ławce. Był bez krawata i w rozpiętym kołnierzyku. „Oaza!” — zachwycił się wciągając powietrze do płuc.

Zmierzył ciagnął za sobą woal chłodnego podmuchu, który poruszał drobne liście osiki.

„Niszczenie przyrody w drugiej połowie dwudziestego wieku przybrało przerażające rozmiary” — straszyl mnie dalej. „Czytałem opinie wybitnych uczonych, którzy twierdzą, że przesadnie rozwinięta działalność przemysłowa człowieka nosi w sobie zarodek samozniszczenia. Uczni zaoferowali, że

stołu, podziurawionego przez korniki, pociętego, ze szparami i wyłobieniami po odlupanych drzazgach. Cała powierzchnia była jak ciemna twarz starego człowieka porysowana zmarszczkami.

Napełniłem kieliszki wermutem.

„Za ocalenie naszej planety!” — wznosił toast i wychylił duszkiem.

Bąłem się, żeby znów nie wskoczył w swój monotemat, i zapytałem, dokąd i kiedy wyjeżdża?

Nie dosłyszał. Pochylił nad talerzem obierał precyzyjnymi dotknięciami widelca sardynkę ze srebrnej łuski.

Dolałem jemu i sobie wermutu do kieliszków. Zdrowie!

Wzniósł kieliszek do góry. Milczący toast na moją cześć. Reka mi się trzęsła. Wypiliśmy obaj równocześnie. Aquila Rossa ma przyjemny smak i pachnie ziołami, ale po drugim kieliszku uderza do głowy. Czuje przyjemne osłabienie. Chcę się upić i zagłuszyć wyrzuty sumienia. Bzdura! Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Nie wyrządziłem nikomu szkody. Sumienie mam czyste.

„Co z twoim starym?” — zapytuje Gamski. „Co porabia mistrz Weloński?”

„Kuruję się w Ciecholeńku”.

„Jaka to choroba? Co mu jest?”

„Choroba, na którą nie ma lekarstwa, i na którą żaden lekarz nie pomoże”.

Gamski nabiera masło na chleb, smarując kromkę i rzuca na mnie znad talerza ukradkowe spojrzenie.

ROMAN GORZELSKI

W Y M I A R Y C Z A S U i C I S Z Y

tworzenie jest śmiercią mężczyzn i zdrowiem kobiet nie wierzyć więc przypatrzcie się dobrze sobie w kawałku piękniego lusterka i nie nagradzajcie mnie za chwilę szczerości która nie popłaca — szczerość w tonacji przywódcy trupy teatralnej jako porządek złotego czasu w rodzinie lalek wzdychającej do gwiazdy przeczystej świętującej swe morskie zwycięstwo już wiele lat świetlnych z dala od współczesności rozgrywa się ten teatr bo przecież raczej z ukosa na życie gwiazd patrzeć należy — a zupełnie inne jest miejsce słowa honoru w czasie i w ciszy poczętego i już skazanego na pracowite błaganie się od kraju do kraju.



PIERWSZY O DWÓCH

pierwszy o dwóch mówi że muszą mu służyć zawodowo więc krzyknęli niech żyje na brzegu rozsądku i dali nura w bezmyślność świata frasośliwa dlatego przybyli na wadze podreperowali stare ogniwa co nie przeszły pierwszej próby ale pierwszy wie po co tu przybył ze swego kraju rewolucja oliwek ma być wykonana bez względu na podróż i chociaż łódzie już całą wodę zajęły chociaż akcja duch po targach i łamańcach ze względu na brakujące punkty zawiodła bo koturny najlepiej widać z daleka i wszystko jest skazane na pompejański gest co nas łączy co nas dzieli zostaniemy w kronikach wspomniani w których decyzja jest nieodwołalna wokół problemów tygodnia zmierzch nastal i pasterka mężczyzn zaczęła rysować na ścianie ich wyobrażać a bohater już przez powietrze leci bryluje wokół dziewczki len tka bez tego żeby nago nagrody nie wziąć i jak zając wypchany za miedzą wspomnień tak rodzi się eros niby grzech pozytywny powiedział pierwszy moralista pełny oburzenia znikając na szczęście.

„LANG OG FOLK” — KOPENHAGA

W Danii odbędzie się wkrótce tournée wystawy poświęconej Związku Radzieckiemu. Jej eksponaty oglądają na razie mieszkańcy stolicy Danii. Obejmuje ona liczne fotografie z życia Związku Radzieckiego i zamieszkujących go narodów. Wystawę, rozmieszczoną w największej bibliotece Kopenhagi i zorganizowaną staraniem Towarzystwa Duńsko-Radzieckiego, otwarto z okazji 50-tej rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między oboma krajami. Z tej samej okazji analogiczne wystawy otwarto także w innych krajach skandynawskich. W Sztokholmie, w Bibliotece Królewskiej, otwarto wystawę książek poświęconą kulturalnym związkom między Szwecją i ZSRR.

„ARBEITER ZEITUNG” — BERNO

W pierwszych dniach czerwca w górach prowincji Rieti, we Włoszech, patrol karabinierów wykrył zmilitaryzowany obóz neofaszystów włoskich, należących do skrajnie prawicowego ugrupowania „oddziały akcji Mussoliniego”. Terrorysty otworzyli do karabinierów ogień z broni automatycznej, ciężko raniąc dwóch policjantów. Podczas strzelaniny jeden z neofaszystów został zabity. W obozie skonfiskowano 250 kg materiałów wybuchowych oraz strzelnicę z bronią i amunicją. Od 1988 roku we Włoszech neofaszyści wszelkich maści dokonali ponad 400 zamachów bombowych, które niosą śmierć za sobą śmiertelnie wielu osób cywilnych.

„ABC” — MADRYT

Władze administracyjne Villanueva del Fresno, małej hiszpańskiej miejscowości w pobliżu granicy portugalskiej, są zaniepokojone tajemniczą wizytą. Grupa mężczyzn, mówiących po portugalsku, przyjeżdża nagle do Fresno, udaje się na cmentarz i prosi o wskazanie miejsca, w którym pochowano w 1965 roku gen. Humberto Delgado, kandydata opozycji na stanowisko prezydenta Republiki Portugalskiej w 1958 roku (gen. został zamordowany najprawdopodobniej przez tajną policję portugalską). „Myślałam — opowiada żona dozorca cmentarza — że przyszedł tutaj, żeby chwilę podumać przy grobie, którego nikt nigdy nie odwiedza. Ale oni zabrali się do dokładnego wymierzania grobowca. Następnie jeden, który mówił trochę po hiszpańsku, spytał, z czego jest zbudowany grób. Kiedy odpowiedziałam, że z cegieł i solidnej zaprawy murarskiej, nieznajomy wyraził zadowolenie”. Odtąd plotkom w Villanueva nie ma końca. Miejscowe władze mają nadzieję, że ta tajemnicza wizyta nie jest przygotowaniem do porwania prochów gen. Delgado.

„LE MONDE” — PARYŻ

Francuska komisja kontroli filmowej nie próżnowała podczas sześciu tygodni kampanii wyborczej, nie dopuszczając na ekrany kin siedmiu filmów, a w tym „Emmanuelle” Justa Jackina i „Opowieści nieobyczajne” Waleriana Borowczyka. W ciągu 18 lat komisja zatrzymała przynajmniej 35 filmów długometrażowych. W okresie prezydenckiej kampanii wyborczej, kiedy większość urzędów znacznie zmniejszyła swoją operatywność, cenzor nr 1 komisji kontroli filmów obejrzał w tym czasie 25 filmów długometrażowych i 63 krótkiego metrażu. Absolutny rekord!

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

W Oslo zakończyły się dwudniowe obrady grupy jądrowego planowania NATO, poświęcone problemom „dalszego rozwoju” strategii w bloku NATO. Minister obrony rządu Norwegii, A. Tostervoll, podkreślił w swoim wystąpieniu, że władze norweskie są przeciwnie „rozdzieraniu w czasie pokoju na terytorium Norwegii stanowisk broni atomowej jak również obcych baz wojskowych”.

Brazylijski tygodnik „Manheta” zamieszcza wywiad z kapitanem Salgueiro Maya, jednym z dowódców oddziałów wojskowych, które dokonały obalenia faszystowskiego reżimu Salazara. Fragmenty tego wywiadu zamieszczamy poniżej:

— W jaki sposób i kiedy otrzymał pan rozkaz rozpoczęcia akcji?

— Jak wiadomo — powstanie wybuchło 25 kwietnia. Odpowiednie instrukcje otrzymałem dwa dni wcześniej, około 10.30 wieczorem. Jak się później okazało, inwigilowało mnie dwóch agentów policji politycznej, którzy nie spuszczały mnie z oka. Często jeździli za mną żółtym „toyotem” z numerem LA-90-98. Oczywiście znak rejestracyjny i numer były fałszywe; nie figurowały w wykazie wozów policyjnych.

— Rozkaz otrzymał pan osobiście, czy przez telefon?

— Powinienem być otrzymać telefonogram z Santarem. Hasło brzmiało: „Nadeszło to, czego pan szukał”. Gdy jednak przekazano mi je telefonicznie, z kawiarni połączyłem się z Santarem, żeby otrzymać potwierdzenie rozkazu.

— Było to 23 kwietnia. A co pan robił przed 23 kwietnia?

— Zachowując najdalej idące środki ostrożności, zacząłem wydawać rozkazy dowódcom kompanii w naszej wojskowej szkole kawalerii przygotowania ludzi do stanu gotowości bojowej. Oczywiście przez cały czas byłem w kontakcie z każdym z dowódców i, obserwując ich reakcje, dobieierałem sobie ludzi, na których mógłbym polegać. Proszę nie zapominać, że po pierwszej próbie powstania w Caldas-da-Rainha, w marcu 1974 roku, wszyscy oficerowie znajdowali się pod czujną i nieustanną obserwacją policji politycznej. Było ogólnie wiadomo, że „kapitanowie coś knują”.

Życie w wojsku ma jedną ważną właściwość. Jego podstawą jest przyjaźń i koleżeństwo, i te uczucia wychodzą na jaw w najtrudniejszych chwilach. Poza tym większość elementów uczelni miała za sobą doświadczenia wojny w Afryce. Po odświeżeniu wymaganych czterech lat — wybrali karierę wojskową. Dlatego też przyjacielskie stosunki kadry oficerskiej ze słuchaczami szkoły nie były konwencjonalne.

— Ale mimo to powstanie w Caldas-da-Rainha nie udało się. Dlaczego?

— Powstanie miało się rozpocząć 23 marca. Nawigawaliśmy niezbędne kontakty i pracowaliśmy nad planem operacji. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego rozpoczęło się ono przed oznaczonym terminem. Przypuszczam, że agenci policji politycznej musieli przeniknąć do szeregów spiskowców i że to oni rzucili przynętę, żeby zobaczyć, kto się da na nią złapać. Jeden z oddziałów wojskowych wyszedł na ulicę w momencie, kiedy nie było jeszcze decyzji o wystąpieniu innych oddziałów. Udzielenie poparcia powstańcom w tej chwili byłoby bezsensowne. Nie mogliśmy maszerować na Lizbonę nie wiedząc, ile wojska mamy po naszej stronie. Doszłoby do niepotrzebnego przelewu krwi. Ponadto powstrzymywał nas od tego jeszcze jeden, czysto techniczny powód: wojska pancerne. Jeśli nie

znajdują się one w stanie gotowości bojowej, nie mogą natychmiast wyjść na ulicę. W naszej szkole, praktycznie rzecz biorąc, znajdowała się większa część broni pancernej całej armii portugalskiej, ale nie była ona przygotowana technicznie i w tej sytuacji niewiele byśmy mogli zdziałać.

Udało nam się zatelefonować do Caldas-da-Rainha o trzeciej trzydziści rano i poinformować powstańców, że nie możemy ruszyć się z miejsca i że informacje o powstaniu w Porto są kłamliwą prowokacją. Odpowiedź była wyjątkowo dramatyczna: „Jesteśmy całkowicie zaangażowani w powstanie i bez względu na cenę musimy iść do końca”.

— W jaki sposób udało się tę warstwę wojskową — przeciw najwznieślijszym wasali salazarowskiego reżimu — powiązać tak mocnym sojuszem na zasadach, które między-

dy i w jaki sposób wydano rozkaz do rozpoczęcia powstania?

— Na falach radiostacji „Odrodzenie” rozległy się pierwsze strofki pieśni „Grandula, vila morena”. Spiker przeczytał te strofki i następnie radio nadało pieśń w wykonaniu Jose Afonsa. Był to rozkaz do działania. Była godzina zero minut trzydziści.

— Od czego pan zaczął?

— Wydaliśmy rozkaz do alarmu we wszystkich oddziałach. Dowódca każdego oddziału wyjaśnił swoim żołnierzom o co chodzi. Była to najważniejsza i najtrudniejsza chwila. Uwzględniając naszą siłę ogniewą nie trudno zrozumieć, jak niezbędny był udział w powstaniu szkoły wojskowej. Ponadto każdy żołnierz i oficer musieli opowiedzieć się za nami. Ezerunkowo. Na szczęście wszystko odbyło się pomyślnie. Co więcej, ta całkowita jedność postawiła

pokoil nas techniczny stan naszych jednostek pancernych. Mamy takie wozy, że po każdej defiladzie czy kilkukilometrowym przejeździe wiele z nich wypadło z akcji. Wprawdzie w dniach poprzedzających powstanie staraliśmy się w miarę możliwości doprowadzić do porządku nasze materiały środki bojowe, ale mimo to byliśmy niespokojni, czy uda nam się dotrzeć do Lizbon bez awarii. Bądź co bądź te 90 kilometrów musieliśmy przejechać. Na szczęście wszystko poszło gładko, jeśli pominąć jedną pękniętą dętkę. Biorąc pod uwagę techniczny stan naszych pojazdów, można powiedzieć, że przebyliśmy całą drogę w rekordowo krótkim czasie, z oszałamiającą szybkością 60 km na godzinę.

— Po przyłączeniu się do powstania wojsk w stolicy wozy pancerne nie musiały już chyba wkrazać do Lizbony?

— Nasz pośpiech należy tłumaczyć obawą, że drogi do miasta mogły zostać zablokowane. O szóstej rano zajął się już pozycje na Terreira-du-Pas.

— Na czym polegało wasze zadanie?

— Na obsadzeniu ulicy Marconi, zajęciu banku i szeregu ministerstw. Kiedy przybyłem na miejsce wyjaśniło się, że I komisariat policji i parlament także znajdują się w sferze mego działania. Podjąłem więc decyzję zajęcia również i tych obiektów. W pewnym momencie zjawili się naczelnik komisariatu policji. Powiedziałem mu krótko, że celem naszego działania jest obalenie reżimu i że powinien się natychmiast zdecydować: przyłączyć się do nas, czy występuje przeciwko nam. Odpowiedział od razu, że przyłącza się.

— Czy znalazł się pan w jakiejś krytycznej sytuacji, będąc już w rejonie Terreira-du-Pas?

— Tak, od strony Caiha-du-Sodre pojawił się oddział samochodów pancernych i piechoty pod dowództwem gen. bryg. Raíha. Były to chwile pełne napięcia. Raíh kilkakrotnie wydawał rozkaz do otwarcia ognia, kiedy z białą chusteczką w ręku szedłem do niego, żeby nakłonić go do przyłączenia się do nas. Na szczęście podporucznik, który dowodził samochodami pancernymi, odmówił wykonania rozkazu i dzięki temu udało się uniknąć walki. Połowa samochodów odwróciła do tyłu wieżyczki z karabinami maszynowymi i podjechała do nas. Oznajmiłem Raíhowi, że całkowicie panuję nad sytuacją i że każda próba oporu jest samobójstwem. Następnie powiadomiłem nasz punkt dowodzenia, że teren opanowaliśmy całkowicie, i że sądzę, iż nastąpił właściwy moment do zaatakowania punktów najważniejszych dla naszej akcji. Otrzymałem wówczas rozkaz załączenia gmachu portugalskiej leżi cudzoziemskiej na Pehia-di-Franco i rezydencji prezesa rady ministrów Caetano. Teraz było dla nas jasne, że odnieśliśmy sukces. Kiedy ruszyliśmy do rezydencji premiera, witały nas burzliwe owacje i żaden z moich żołnierzy nie wątpił w zwycięstwo. Po zaleciu amachu rządu nie ulegało wątpliwości, że reżim padł. Powstanie odbyło się bez przelewu krwi.

JERZY CZECH

BYŁA GODZINA ZERO TRZYDZIEŚCI...

narodowi obserwatorzy polityczni oceniają jako postępowe? Program polityczny sił zbrojnych, które dokonały przewrotu 25 kwietnia, nieomal całkowicie pokrywa się z programem, który opozycja demokratyczna głosi od 1945 roku. Czy jest to następstwem emocjonalnego klimatu, który wytworzył się wskutek ostatnich wydarzeń, czy też jest to faktem, który świadczy o wzroście świadomości politycznej wśród wojskowych?

— Każda podjęta decyzja jest polityką. Nawet mimo cenzury prasy wszyscy wiedzieli, że portugalska rzeczywistość przyjęła bardzo dramatyczny charakter i że trzeba ją bezwarunkowo zmienić. Na tym bazowała nasza strategia.

Żeby sobie wyobrazić, jakie idee fermentowały w środowiskach wojskowych, wystarczy podać następujący fakt. Swego czasu utworzyliśmy trzy komisje, żeby przestudiować różne aspekty naszego życia narodowego. Pracowały one autonomicznie, po czym każda sprecyzowała swoje wnioski. Tydzień później ukazała się książka gen. Spínoli „Portugalia i jej przyszłość”. Okazało się, że wnioski naszych trzech komisji i książka generała zawierają te same, uzupełniające się idee. Podobny zbieg okoliczności nie mógł być przypadkowy. To dodało nam otuchy i wiedziliśmy już, że idziemy dobrą drogą. Wniosek był jednoznaczny: Musimy wyjść na ulicę.

— Powróćmy do 25 kwietnia. Kie-

nas w dość kłopotliwej sytuacji: wszyscy chcieli iść z nami. Stan osobowy szkoły wynosił 500 ludzi, ale mogliśmy wziąć z sobą tylko 240, włącznie ze 160 piechurami i kompanią zwiadu, składającą się z 10 transporterów opancerzonych.

Część naszych sił musiała pozostać w koszarach. Gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót, mielibyśmy zabezpieczone tyły i mielibyśmy stawiać opór w szkole. Jeśli się powstanie w ogóle załamało, naszym ostatnim bastionem miało być miasto Santarem, gdzie przygotowaliśmy obronę, obsadzając most przez Tag, stację kolejową i centralę telefoniczną.

— Czy moglibyście stawiać długotrwały opór?

— Bez wątpliwości. Bronilibyśmy się dopóty, dopóki by się nie przyłączyły do powstania inne garnizony. W każdym razie o poddaniu się nie mogłoby być mowy.

— Czy natrafił pan na jakiś opór w Lizbonie?

— Spotkaliśmy kilka patroli gwardii republikańskiej. Zaledwie zdążyliśmy wyjść z koszar, jak policja poinformowała Lizbonę, że odbywa się ruch wojsk. Ale ze szkoły odpowiadano, że wszystko jest w porządku i chodzi po prostu o manewry. Dlatego w drodze do Lizbony nie natrafiłszy na próby oporu. Najbardziej nie-

► CZWIERĆWIECZE PIERWSZEJ ORGANIZACJI GOSPODARCZEJ PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH ► „DEKLARACJA ATLANTYCKA” ► UKŁAD NRF — CSRS WCHODZI W ŻYCIĘ

Uważny obserwator życia politycznego na scenie międzynarodowej mógłby z łatwością przeoczyć, że zbliżamy się do pełni okresu wakacyjnego. Po prostu życie toczy się w spokoju i lipiec z pewnością nie będzie urlopowy. Ta uwaga nasuwa się nie tylko z powodu genezy i wiedeńskiej konferencji, lecz również rozwoju wydarzeń w wielu rejonach świata. Zajmijmy się jednak nie przyszłymi, ale minionymi faktami.

Jednym z nich jest JUBILEUSZOWA SESJA RWPG, jaka właśnie z udziałem szefów rządów państw członkowskich, odbyła się w Sofii. Opublikowana z okazji 25-lecia uchwala się dokumentem, który skłania do refleksji, przypomina bowiem, jak daleką drogę przebyły kraje socjalistyczne na polu współpracy. Zaczyna się od wymiany gotowych produktów i dostaw surowców oraz artykułów żywnościowych, potem nadszedł etap, wzbogacający współpracę w dziedzinie handlu zagranicznego wymiana doświadczeń naukowo-technicznych, dziś kraje RWPG łączą trwałe kontakty w sferze produkcji materialnej i głębokie współdziałanie w gospodarce, nauce i technice. Coraz pełniej stosuje się socjalistyczny podział pracy, a kompleksowe planowanie umożliwia pomyślnie rozwiązywa-

nie wielkich zadań. Transeuropejski rurociąg naftowy „Przyjaźń”, rurociąg gazowy, połączony system energetyczny, wykorzystywanie wspólnego parku wagonów towarowych, kooperacja w wielu kluczowych przemysłach — to tylko niektóre z faktów, do których już przywykliśmy i bez nich nie moglibyśmy wyobrazić sobie harmonijnego rozwoju naszych krajów. A rozwój ten jest bardzo szybki: 12-krotnie w ciągu 25-lecia wzrosła produkcja przemysłowa krajów socjalistycznych, 8-krotnie zwiększył się dochód narodowy.

Pierwsza na świecie organizacja gospodarcza państw socjalistycznych nie ma charakteru zamkniętego. Utrzymuje ona stosunki w różnych formach z ponad 20 organizacjami. Nowe możliwości szerokiej i długofalowej współpracy z rozwiniętymi państwami kapitalistycznymi powinna stworzyć Europejska Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy. Wiele uwagi RWPG poświęca stosunkom gospodarczym z krajami coizyjacjami się.

Wspomniana uchwała pozytywnie ocenia rezultaty prac RWPG w ciągu czterech lat jego istnienia i przynosi postanowienie bratnich krajów: dalszego umacniania RWPG, pogłębienia i udoskonalenia współpracy i rozwoju

socjalistycznej integracji gospodarczej, podziału pracy oraz rozwoju wzajemnie korzystnych, równoprawnych kontaktów gospodarczych na świecie.

Przemawiając na jubileuszowej sesji premier P. Jaroszewicz poświęcił wiele uwagi rozwojowi powiązań kooperacyjnych Polski z pozostałymi krajami RWPG. Przypominał, że zawarliśmy 23 wielostronne umowy o specjalizacji i kooperacji w produkcji oraz prawie 130 umów dwustronnych. Już tylko te liczby świadczą o tym, jak głębokie są nasze powiązania z socjalistycznymi partnerami.

Niemal w tym samym czasie, kiedy w Sofii odbywała się XXVIII sesja Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, w Ottawie toczyły się obrady rady ministerialnej NATO. Zakończyły się one uzgodnieniem „Deklaracji atlantyckiej”, a więc dokumentu, który był przedmiotem kontrowersji przez ostatnich miesiąc. Nic więc dziwnego, że prasa zachodnia nadała temu wydarzeniu rozgłos, tym większy, że dla uroczystego przyjęcia deklaracji, 26 bm. zbiera się w Brukseli atlantycki szczyt.

Czy rzeczywiście jest to tak wielkie wydarzenie?

Odpowiedź należy dać: nie. Jest to bowiem dokument, pozbawiony mocy prawnej i w istocie nie wnoszący nic nowego do dotychczasowych stosunków między atlantyckimi partnerami. Z amerykańskich zamierzeń, aby deklaracja była busola na czterdziecie dla stosunków państw członkowskich, pozostało niewiele. Ktoś z korespon-

dentów napisał, że jest to zaledwie „dalekie echo” propozycji Kissingera, gdyż ostatecznie musiał on pójść na znaczne ustępstwa wobec zachodniej Europy. Zwłaszcza wobec Francji, która nie chciała się zgodzić na sformułowanie, zobowiązujące do konsultacji.

Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych — zauważają publicyści zachodni — istotne jest to, że Nixon pojedzie do Moskwy uzbrojony w nowy dokument. Jak już pisaaliśmy — wizyta prezydenta USA w Związku Radzieckim rozpoczyna się 27 bm.

Do rzędu ważniejszych wydarzeń tygodnia zaliczyć też trzeba ratyfikowanie przez Bundestag układu z Czechosłowacją. Przeciwnie niemu głosowała opozycyjna mniejszość w dyskusji parlamentarnej kanclerz Schmidt podkreślił rolę, jaką spełniły SPD i FDP w ukształtowaniu polityki wschodniej Bonn. — Podjęliśmy się zadania normalizacji stosunków — mówił Schmidt — również dlatego, aby Republika Federalna „W wykazującej gotowości do porozumienia Europie nie została ostatnim eksponatem zimnej wojny”.

Układ z Czechosłowacją — po układach z Związkiem Radzieckim, Polską i NRD — jest kolejnym ważnym krokiem, stabilizującym sytuację w Europie.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Przemieniał już fala prasowych doniesień w sprawie kradzieży z Muzeum Pomorskiego obrazu Bruegla. Nie skończyła się jednak Sprawa, więc warto do niej wrócić. Na przykład z artykułu Barbary W. Olszewskiej („Polityka” nr 19) wynika, że zdaniem kustosa muzeum, obraz skradziono nocą. Być może. Moim zdaniem jednak zabezpieczenie zbiorów było takie, że zupełnie spokojnie można było rąbać Bruegla nawet w jasny, słoneczny dzień.

Dlaczego tak uważam? Otóż dwa lata temu mieszkałem w sierpniu, nieopodal Muzeum Pomorskiego w Gdańsku. Prawie codziennie zaglądałem do muzeum (znajdowało się na trasie do centrum), głównie po to, aby popatrzeć na porównawczy, wizyjerski „Sąd Ostateczny” Memlinga.

Skradziono niedawno obraz Bruegla „Kobieta z ogniem” eksponowany był właśnie obok Memlinga, w tej samej sali. Na prawo, tuż przy oknie. Jest to — jak wiadomo — obraz bardzo niewielki, rozmiarami 1 na 1,5 metra (czy raczej 1,5 na 1,5 metra), co było wygodne pod marynarkę, razem z ramą. Pracownica pilnująca ekspozycji miała swoje stanowisko obser-

wacyjne usytuowane w ten sposób, że na linii obserwacji obrazu Bruegla stał właśnie wielki tryptyk Memlinga. Tak więc, siedząc na krześle między dwiema salami, pracownica absolutnie nie mogła widzieć żadnej operacji dokonywanej na obrazie Bruegla. Jeśli złodziej wyjął obraz z ramy i umieścił tam reprodukcję, zajęło mu to niewiele czasu. Czy robiłby to w nocy? Chyba nie, bo i po co. Dlatego uważam, że obraz skradziono w dzień.

Oczywiście taka hipotetyczna wersja jest wielce niewygodna dla dyrekcji muzeum — po prostu bardziej kompromituje stan zabezpieczenia zbiorów niż wersja nocnego włamania, na które „nie ma mocnych”.

Ale nie o to chodzi. Nie będę się bawił w detektywa.

Chodzi o Sprawę. Oto niedawno spłonął w kościele w Kalliszu obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża”. Szybko zresztą okazało się, że nie spłonął, bowiem przed wybuchem pożaru w kościele... obraz został wycięty z ramy przez nieznanych sprawców. Śledztwo trwa — nie nie wskazuje na to, że bo-
daj jedyny w Polsce dzieło Rubensa wróci do społeczeństwa.

W międzyczasie jednakże, krótko po dziwnym pożarze, w jednym z pism zachodnoniemieckich ukazał się anonis: „Sprzedam obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża”. Zbieg okoliczności? Przypadek? Nie wiadomo. Handlarz podał, co prawda, numer telefonu, nie wiadomo jednak, czy sprawdzono ten ślad.

Podaję, że sprawa „Zdjęcie z krzyża” jest już dla polskich zbiorów nieodwracalnie zamknięta.

I jeszcze jeden rodzynek. Przed paroma laty na plebani w Kosowie odkryto obraz El Greco. Historycy sztuki rozpoczęli spory czy to oryginalny obraz, czy kopia. Obraz w Kosowie pozostał. Po latach badań ustalono, że to jednak autentyczny El Greco. Czy ów obraz znajduje się obecnie w jakimś muzeum, pod ochroną? Nie wiadomo. Na szczęście jeszcze jest w Polsce. Na szczęście złodzieje nie ubiegli historyków sztuki i nie zrobili w międzyczasie skoku na plebanie w Kosowie.

I wreszcie ostatnia bomba. W Muzeum Diecezjalnym w Przemyślu znajdował się obraz Bartolomeo Murilla. Już go nie ma. Ukradziono. Tym razem złodzieje ubiegli konserwatorów

i historyków sztuki. Obraz Murilla zniknął zanim się nim poważnie zainteresowali specjaliści — muzealnicy.

Wszystkie wymienione tu zabijki światowego malarstwa to nie tylko dzieła sztuki o ogromnej wartości kulturowej i artystycznej. To także „twar” wartości setek tysięcy — już nie złotych, ale dolarów. Ogromny majątek narodowy, który może podjąć być powiatowy eweniam.

Na koniec pointa. Mam przed sobą „Przewodnik po muzeach i zbiorach w Polsce” wybitnego specjalisty, prof. Stanisława Lorentza. Otóż w tym podstawowym dziele nie ma ani jednej wzmianki na temat obrazów El Greco, Rubensa i Murilla — o których była mowa w tym felietonie. Po prostu nie zostały zarejestrowane, albo jako dzieła o niepewnej autentyczności, albo jako własność prywatna lub kościelna.

A więc ich nie było? Więc po co tyle wrzawy, jeśli skradziono obrazy, których nie było? Nie jest to jednak zbyt przekonywujące pocieszenie.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



SIŁA CZASU

O dobroczynnym wpływie czasu powiedziano już niemal wszystko, ale czas działa nie tylko dobroczynnie. Weryfikuje wiele wartości, odsuwa w zapomnienie jedne wydarzenia, nadaje wielką rangę innym, pomniejszając jeszcze inne. Coś podobnego stało się też z filmem o bohaterach, który w czwartek przez Polską Telewizję. Mam na myśli serial: „Al Capone i inni”.

Przypuszczam, że amerykański producent chciał zainteresować tym filmem widzów i w powodzie różnych sensacji wybrał te fakty, które zawsze budzą zainteresowanie odbiorcy. Wybrał zmagania policyjne z gangsterami. A że film amerykański — wbrew temu co się nieraz sądzi — jest z natury swojej dydaktyczny i zawsze pokazuje zwycięstwo dobra nad złem, prawości nad nieprawością, to i w serialu „Al Capone i inni” sympatja jest po stronie nielegalnej i nieprzekłnej bratniej policji. Alci — jak to już wcześniej zauważył KTT w „Kulturze” — czas spłatał figla nie tyle producentowi, bo w końcu film jego cieszył się przyznanie i na powołaniem, groźnym w czwartki przed telewizorami tysiące Polaków, co samym bohaterom filmu. Otóż owo niezłomni policjanci walczą w obronie prawa, które historia określiła jako nieporozumienie i pomyłkę. Zresztą sami jego twórcy musieli wycofać się na górę upatrzone pozycje i cofnąć prohibicję. Niestety, skutki tej pomyłki okazały się trwałymi, bowiem przewidywały się do umocnienia i rozwoju gangów.

Zrozumiałe, że nie ten rodzaj się na jawie gwałt i amerykańskie gangi wystąpiły z żywego dnia nielegalnego podłoża. Gangi w Zjednoczonych Ameryki Północnej, i gdyby nie było prohibicji, to być może znalazłyby sobie inną równie dobrą pozycję. Nie o to wcale chodzi. Dzieje niezłomni grupki policjantów bohaterów walczących z przeważającymi siłami gangsterów są dla mnie tylko niezwykle wyrazista ilustracja działania człowieka w określonych warunkach. Dziś mądrzejsi o całą epokę, dzieląc

świat od tamtego okresu z historią USA, możemy za dziwnym patrzeć na zmagania policjantów w obronie prawa, którego bezsensu autorytatywnie stwierdziła historia. Ale znając nawet niesłowny koniec prohibicji nie możemy nie aprobować zmagania policjantów z gangsterami, którzy występowali w obronie porządku i ładu społecznego, jak byśmy to dziś określili. Czas zweryfikował tendencje tamtego okresu i uczynił z grupy policjantów i jej przywódcy postacią tragiczną. I co by się nie mówiło o czasie, który leczy rany, dla pozytywnych bohaterów serialu „Al Capone i inni” nie okazał się on być przychylnym.

Myślę, że w historii każdego narodu znajdują się tacy bohaterzy, których działanie doraźnie słuszne i prowadzące do sukcesu, a w dłuższej perspektywie, nadające ich postaciom piętno tragizmu. Boda to bohaterowie różnych wymiarów i różnej wartości. Ale nie o bohaterów mi chodzi, bardziej interesuje mnie los i świadomość prawodawców. Tych, którzy pozostają w cieniu, a którzy swoją działalnością wywołują niezłomną piętno na losach społeczeństwa, dokonując w społecznej świadomości nieodwracalnych niekiedy zmian. Człowiek stanowiący prawo nie jest w stanie przewidzieć uboższych skutków działania swego tworu. Jego prawodawcze działanie jest z wczesnym młar pożyteczne, choć czasem rodzi zupełnie niezamierzone i niepożądane skutki.

Nie zamierzam twierdzić, że działalność prawodawcy jest działalnością fatalistyczną i że tak być musi zawsze, choć czasem tak bywa. Stanowiąc prawo i nadając mu moc obowiązującą, człowiek nie zawsze jest w stanie przewidzieć wszystkie czynniki społecznego życia, które pobudzi do działania. Kłopot można było stanowić kodeksy uniwersalne, które przez długie lata służyły ludzkości. Ale wtedy wolniej było tempo życia i postęp społeczny nie dokonywał się w tak szybkim tempie. Stąd też i nowelizacja prawa była zjawiskiem rzadkim. Dziś jest inaczej, ale i dziś

jestem społeczeństwem w stanie nieustannego rozwoju, które postawiło sobie ambitny cel nadrobienia wielu opóźnień i przyspieszenia rozwoju gospodarki narodowej.

Tego typu warunki rozwoju społecznego zakładają konieczność stałej nowelizacji obowiązujących praw i przepisów. Ich celem jest — z jednej strony — tworzenie norm odpowiadających aktualnemu stanowi społeczeństwa, a — z drugiej — tworzenie warunków dogodnych dla dalszego postępu społecznego. Zrozumiałe, że w takim układzie stosunków społecznych nieuchronna staje się doraźność wielu przepisów i zasad działania. Życie nie ma na każdym kroku uławnia anachronizm i paradoksy, a wywołana działalność prawodawcy nie jest w stanie podjąć wielkim potrzebom. Stąd często mamy wiele przepisów sprzecznych, dziś już nieczytelnych, a próby ich usunięcia nie zawsze kończą się powodzeniem. Przykładem może tu być próba zastąpienia wielu zaświadczeń dowodem osobistym, podstawowym w gruncie rzeczy dokumentem. Znaczenie udało się podnieść także tej doktrynie i stał się już nam w ruchu międzyrodzinnym, ale ciągle jeszcze nie zawsze i nie wszędzie zastępuje niektóre zaświadczenia.

W naszym myśleniu społecznym bardzo często jeszcze nie zdajemy sobie sprawy z ogromnej mocy funkcjonalnych przepisów, choć w wielu rozmowach daję się słyszeć zdanie: — Doskonale rozumiem, ma pan rację, ale nie mogę jej uznać w świetle obowiązujących przepisów. Kiedyś próbowałem przeciwdziałać zdrowy rozsądek przepisom, ale wydaję mi się, że dziś takie rozumowanie można spokojnie odłożyć do lamusa. Nie neguję potrzeby posiadania zdrowego rozsądku, ale też uważam, że powinna go wspomagać rzetelna i rzetelna analiza rozwoju społecznego, gospodarczego i kulturalnego kraju. Dość często jeszcze nasze niektóre działania opieramy na dobrej woli i apeliach, zamiast wniknąć w przyczyny takiego a nie innego stanu rzeczy.

Oto dowiedziałem się niedawno, że przy budowie Zanku Warszawskiego zabrakło rzemieślników, specjalistów tak zwanych rzemieślników artystycznych. Trzeba ich było angażować do Warszawy z całego kraju, a przy okazji stwierdzono, że

śa to dziś — niestety — zawody wymierające, jako że nie mają naśladowców. Zabrakło młodych, którzy chcieliby specjalizować się w dziedzinie rzemieślniczych, a nawet niezbędnych zawodach. Apeluje się więc do władz oświatowych o zainteresowanie się tym zagadnieniem, a przecież warto byłoby sięgnąć do przyczyn upadku niektórych rzemiosł. Sądzi, że wiele z nich wytrzymuje konkurencję przemysłu, gdyż — po prostu — przemysł nie potrafi ich zastąpić. Natomiast mało kto interesuje się skutkami polityki finansowej w tej sferze społecznej działalności, a tu upatrywałbym główną przyczynę współczesnego regresu rzemiosła. Wprawdzie od dawna głosimy hasło: „Zielone światło dla rzemiosła” wprawdzie zmieniła się znacznie polityka państwa wobec drobnej wytwórczości, przysługując jej wcale niebagatelną rolę społeczną i gospodarczą, ale skutki wieloletnich działań hamujących rozwój rzemiosła stały się już na tyle trwałe, że dziś młodym wygódniej wybierać takie zawody, w których nie będą narażeni na wieloletnie kłopoty niż brnąć w nie świadomie. I trudno im się dziwić.

Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że szybki rozwój społeczny nie może następować żywiołowo, że wymaga prawnej kanalizacji, ale też trzeba mieć i te świadomości, że sterowanie tym rozwojem może i rodzi wiele ujemnych zjawisk z punktu społecznego widzenia, że niesie z sobą też czynnik rozwój ten utrudniające, a często wręcz hamujące. Świadomość tego powin-
na nam ułatwiać opanowanie i mielibyśmy, jakie często sami sobie tworzymy. Nie znaczy to, że namawiam do omiśniania praw i przepisów. Przeciwnie! Nawołuję jednak bardziej do zwracania uwagi na ducha naszych praw niż na ich literę. Czas oceni nasze poczynania i niewątpliwie przyniesie nam rację, ale aby racja ta była jak najwięcej solidnie ocenianym też czas, w jakim przychodził nam do życia. Człowiek tworzy prawo, a życie je weryfikuje. Oby była to weryfikacja jak najbardziej dla nas pozytywna.

MARCIN RODAK

LEWYM
OKIEM

RADOŚĆ

W PLANIE

Z okazji nowego rozkładu jazdy PKP ogłoszone między innymi wiadomości, że pociąg z Warszawy do Wary nad Czarnym Morzem będą o dwa wagony dłuższe. Oznacza to być może, że bilet z miejscówką na taki pociąg będziemy kupować z wyprzedzeniem pół roku, zamiast dotychczasowych siedmiu miesięcy.

Miejsca sypialne w pociągach do Lipska zamawiać trzeba na 3-4 tygodnie naprzód. Kooperacja naszego przemysłu z przemysłem niemieckim jest już tak ścisła i powiązana, że wymaga bardzo często szybkich, nieplanowanych wizyt wzajemnych. Wtedy jedzie się piętnaście godzin siedząc, i prosto z pociągu idzie na naradę.

Z miejscami sypialnymi w kraju nie jest wcale lepiej. O hotelach lepiej nie mówić, a najlepiej mieć stałe pokoje we wszystkich interesujących człowieka miastach.

Plany urlopów składamy w instytucjach na rok naprzód z dokładnością do jednego dnia, nie widząc oczywiście czy urlop będzie wtedy możliwy. Chcąc kupić mebel, zapisujemy się w kolejki i czekamy półtora roku, mając zresztą za sobą kilkuletnie czekanie na własne M-3. Czekamy na możliwość nabycia samochodu, sukienkę sylwestrową zamawiamy w marcu, bo inaczej krawcowa nie zdąży, kolejkę u fryzjera najlepiej zamówić od razu wychodząc właśnie po uczesaniu.

Na rok z góry składamy wniosek o leczenie sanatoryjne, z czego wynika że albo wiemy, na co będziemy chorować, albo też nie ma choroby, z leczeniem której nie można być pojechać. Podobno miejsce w klinice położniczej trzeba już rezerwować półtora roku wcześniej.

Żyjemy więc ciągle w przyszłości, myślimy wciąż o tym co będzie i niewiele zaiste zostaje czasu na zauważenie tego, co właśnie jest w tej chwili. Jakże może się cieszyć pięknym dniem dzisiejszym, leżąc na słońcu, siedząc pod wierzbą — kiedy właśnie musimy lecieć zaklepać termin wyjazdu na urlop następnego, bo jeśli nie zaklepać dziś to słońca i wierzby nie będzie nigdy? No i lecie, i nie ma mnie dziś na słońcu ani pod wierzbą, a z rok powtórzy się to samo. Wciąż w czujnym napięciu, żeby aby czegoś nie przegapić i potem nie żałować — przegapiamy bieżącą chwilę.

Najgorsze zaś, że nie ma na to żadnej rady. Okresy wyprzedzeń będą się raczej na całym świecie, dla wszystkich ludzi i dla każdego człowieka z osobna, wydłużać, coraz dalszą przyszłość trzeba będzie kształtować na bieżąco, co chwilę; na jedną chwilę bieżącą przypadnie więc konieczność planowania coraz większej liczby zdarzeń przyszłych. Tym szybciej i tym bardziej niepostrzeżenie przepłyną nam przez palce dni, miesiące, lata. To jest błędne koło, o którym myślę nie bez strachu.

Nie ma na to rady. Zaludnienie świata zagęszcza się, nie darmo przewodniczący ONZ otworzył jedno z posiedzeń zdaniem: „Podczas kiedy my tu będziemy radzić, ludność świata wzrośnie o cztery miliony...”

W gestniczącym tłoku wzajemne interesy, uwarunkowania, zależności gmatwiają się w postępie geometrycznym. Żeby uniknąć chaosu, panować jako tako nad rzeczywistością, trzymać w rękę wodze zdarzeń, żeby po prostu umożliwić znosny byt miliardom mieszkańców Ziemi — trzeba planować, przewidywać, uprzedzać, zapobiegać, trzeba w końcu „paść kość”, obliczać skutki, rozważać możliwości. Trzeba nieustannie żyć przyszłością, żeby móc w ogóle żyć.

Jeszcze tylko w literaturze i sztuce, w takich powieściach jak Cola Breugnon, filmach — jak Grek Zorba, obrazach — jak u impresjonistów, znajduje się okienko na adorację istniejącego właśnie tu i teraz świata. Jest w tym niewątpliwie pochwała bezroskosznej lekkożywności, niefrasobliwej postawy hedonistycznej, nieodpowiedzialności, dziecinności na świat spojrzenia. A przecież futurologi z Lemem na czele przekonują nas, że dopiero teraz ludzkość osiąga wiek dojrzały. Nie stać nas już na nieodpowiedzialność i niefrasobliwość. Dojrzałość zobowiązuje. Nie ma — powtarzam po raz trzeci — innej rady: musimy planować sobie i z góry organizować nie tylko produkcję, ale także odpoczynek, przyjemność, radość, zabawę.

Tak, to jest oczywiste. Tylko... Czy aby nie zatracimy wreszcie w ogóle zdolności autentycznego przeżywania czegośkolwiek, czy będziemy naprawdę szczerze śmiać się piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, jakżeśmy to sobie wstawili w plan? Czy będzie się wtedy podobać sukienka, którą zamówiliśmy wczoraj? Czy pojedziemy do Wary tylko dlatego, żeby się nie zmarnowała z trudem zdobyta na rok naprzód miejscówka?

BOGDA MADEJ

CWIEK

SPORT

Wszeckie wcześniejsze spekulacje wzięły w łeb. Jeszcze raz okazało się, że nadmierna pewnością siebie nie poplaka. Włosi spakowali walizki. Haitańczyków, którzy przed meczem z Polską w najgorszym razie przewidywali remis, prawie nie było widać na boisku. Nie pomógł im nawet prezydent, który — nie licząc się z kosztami — długo udzielał rad przez telefon, jak drużyna Haiti ma grać. Pewnie prezydent myślał, że zna się na wszystkim, skoro jest już prezydentem. Nie znał jednak Polaków.

Prawdę mówiąc, my ich też nie znaliśmy. Nie znaliśmy tego zespołu, który wygrał wszystkie swoje spotkania. Nie widzieliśmy jeszcze tak pięknie i tak mądrze grającej drużyny Kazimierza Górskiego. I dlatego to napięcie, powszechna gorączka, puste ulice, kiedy zaczyna się mecz. Tak jak kiedyś powszechnie baliśmy się o los naszej drużyny, czy uda jej się zakwalifikować do następ-

nej tury rozgrywek, tak teraz powszechnie cieszymy się jej sukcesami i wierzymy, że — jak sami mówią — nie powiodzie im się jeszcze swego ostatniego piłkarskiego słowa.

Zafascynowanie piłką nożną nie jest jednak tylko udziałem Polaków. W Rzymie, kiedy Polska zwyciężyła Włochów na 45 minut stanęły tramwaje i autobusy, bo kierowcy i konduktorzy chcieli śledzić losy swojej drużyny. A Polacy rozstrzykali nie tylko ich losy, ale i losy Argentczyków. W wielkiej hali dworca lotniczego we Frankfurcie nad Menem ustawiono telewizory i głos spikerki zapowiadającej loty zaguszany jest przez ryk kibiców sportowych. W samolotach, na statkach, w pociągach, tramwajach i autobusach ludzie informują się wzajemnie o wynikach rozgrywanych właśnie meczów. Widzom „Balladyny” aktorzy przywieźli wynik meczu Polska — Argentyna na osławionych „hondach”. A sam

Adam Hanuszkiewicz kończąc swój bardzo mądry program, w którym pokonał w polskim stylu Janusza Rolickiego i Wiktora Fillera oraz mrowie telefonów, przekazał na ręce Tomasza Hoppera najserdeczniejsze pozdrowienia dla polskich piłkarzy, nie zapominając przy tym o Włodzimierzowi Luban-skim, od którego to wszystko się zaczęło. A ścisłej od jego strzału w Chorzwie, w meczu z Anglikami.

Ale to nie szalę ogarnął świat. Piłka nożna zawsze interesowała ludzi, gromadziła tłumy na widowiskach boisk całego świata. Dziś widownia gwałtownie się rozszerzyła, a stało się to dzięki telewizji. Jesteśmy świadkami zjawiska, którego nie można nie widzieć, nie rozumieć. I oto „Literatura” zaprasza do dyskusji na temat piłki nożnej Stanisława Dygata, Tadeusza Konwickiego i Gustawa Holoubka. Na temat piłki nożnej i mistrzostw świata wypowiada się prof. Jan Szcze-

PREZENT DLA ARGENTYNY

MAGAZYN

CEKAWY NOWOŚCI

W związku z latem, czy może raczej bez związku, przemili nasz handel przygotował kilka uroczych niespodzianek dla Naszych Kochanych Reżyserów Filmowych. Wymienimy ciekawsz! A więc siateczki z piastyku na drobne pomysły oraz czarne teczeki z dziurkami, na większe adaptacje. Bardzo przydatny jest też model składanej latarki kinowej, którą reżyser może używać na własnym filmie, oświetlając twarze widzów by poznać ich zwykłe ukryte w mroku reakcje na obejrzone dzieło.

TO NIE TO SAMO

W jednym z najbliższych wspólnych filmów polskich nie zobaczymy, niestety, tak dawno, oczekiwanego żywego centaury. W wyprodukowanie żywego centaury Wytwórnie Filmowej włożyły, przynajmniej trzeba, wiele wysiłku. Cóż, nie wyszło... By jednak nie stracić kredytu zaufania u publiczności, zastosowano inne, też ciekawe wyjście. Otóż zamiast centaury wystąpią osobno: jeden człowiek i jeden koń.

WYBITNE I DOWCIPNE

Angielski mistrz filmu oświatowego John Perestille zakończył prace nad dziełem, w któ-

rym w dowcipny i zabawny sposób wykiwa picie alkoholu przez angielskich motocyklistów w czasie jazdy.

motywując dość naiwnie, że pan Lechosław nie podoba jej się za bardzo... Pan Lewarko nie zrezygnował jednak ze

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”

K.I.G.

PRECZ Z KOZACZENIEM

W Stanach Zjednoczonych powstał nowy zawód filmowy. Jest to tzw. „bojacz”, czyli zupełnie przeciwieństwo kaskadera. Przedstawiciele „bojaczy” pobierają wysokie gaże w dolarach, za to, że nie zrobią nigdy w życiu nic niebezpiecznego. Szeregi sympatycznych „bojaczy” stale rosną i na razie zgłoszeń z Polski się nie przyjmują.

LEKARSTWO NA UPÓR

Pan Lechosław Lewarko z Prawoskrętów uparł się, iż konieczne poślubić musi gwiazdę filmową. Niestety, sam upór tu nie wystarczy. Wybrana przez pana Lechosława gwiazda filmowa odmówiła poślubienia go,

swoich zamiarów, zmieniając jedynie obiekt zainteresowania. Obecnie pragnie poślubić też gwiazdę filmową, ale z okresu filmu niemego. I z tego już nie zrezygnuje, żeby nie wiem co...

LETNIE FIGLE Z FELLINIM

Spółdzielnia „Wesoła Gromada” szykuje w tym sezonie letnim atrakcyjne „Filmowe Wczasy pod Gruszą”. Podczas każdego turnusu, dyżurujący pod gruszą Fellini odpowiadać będzie na pytania wczasowiczów. Podobno wielki reżyser szykuje już dowcipne odpowiedzi. Jednak największą niespodzianką przygotowują organizatorzy na zakończenie imprezy. W czasie uroczystego ogniska, przebrane w prześciera-

dła uroczyste wczasowicze! nę straszą Felliniego i dla żartu wrzucają go do sadzawki!

DROBNE PŁATKI

Ileż to już razy obrywaliśmy płatki akacji! „Kocha, lubi, szanuje...” — jakie to tradycyjne i niemądre. Czas i to zmienić. Od dziś wrożymy sobie i naczaj, nowoczesniej. Zrywając płatki szepczemy nazwiska reżyserów filmowych. Na przykład: „Jedryka, Kaniewska, Kuźmiński, Kurosawa...” Ostatni plutek, ostatnie nazwisko. Czyżby kochał nas ten właśnie reżyser? Oczywiście nie jest to takie pewne. Ale na pewno my kochamy Jego! I żyć nam zaraz lepiej i pracować lepiej. A przy najbliższej okazji nie powstydźmy się powiedzieć wybranemu przez los reżyserowi, jak to plutek akacji głupiotki skierował nasze uczucie ku Niemu. I Jemu lepiej się pożyje i weselej potworzy, bo dobrze mieć kogoś, kto kocha...

KŁOPOT Z SYGNAŁEM

Inżynier J. W. z Pomorza stwierdził ze zdumieniem, że potrafi być mężczyzną jedynie w czasie nadawania sygnału wywoławczego Dziennika Telewizyjnego. Jednak sygnał wywoławczy Dziennika TV trwa stosunkowo krótko i inżynier J. W. nie był zadowolony. Prosił i błagał nie odnosił skutku, gdyż Kierownictwu Telewizji nie opłacało się dla jednego mężczyzny przedłużać sygnału. Na szczęście żona inżyniera J. W. wykazała dużą muzykalność i nuciła w określonych sytuacjach wspomniany sygnał, jakoś uratowała małżeństwo.

POWIĘKSZENIA

PROSTE ROZWIĄZANIE

„Życie Pabianie” w artykule pt. „Zasmiecone środowisko” pyta: „Czy nie ma na to rady?” „Sprawę czystości pabianickich ulic, zwłaszcza tych środowiskich — pisze „Życie Pabianie” — poruszyliśmy na naszych łamach już wielokrotnie. Przykro nam, że bez skutku...” Władze miejskie Pabianic od lat borykają się z tym problemem... Pabianiczanie nie chcą, by ich miasto miało opinię brudnego i zaniedbanego... A Krasnoludków w Pabianicach nie ma?

LATWO BYĆ HARCERZEM

Pod intrygującym tytułem: „To chcemy mieć w domu” Dziennik Łódzki donosi: „Dla zmotoryzowanych amatorów podróży w nieznaną stronę mapy niezbędnym przedmiotem staje się często zwykły kompas. Kompas o kulistej formie z przezroczystym tworzywa sztucznego z przysawką umożliwiającą umieszczenie go na przedniej szybie w samochodzie doskonale wskazuje kierunek jazdy”. Posiadając taki kompas możemy spokojnie jechać na azymut. W domu natomiast nie zabłądzimy udając się z kompasem do łazienki.

ZAGADKA

24 czerwca 1974 roku z Centralnego Dworca PKS w Łodzi kilka autobusów na różne trasy odjechało z kilkunastu i kilkudziesięciominutowymi opóźnieniami. Pytanie: Jaki to był dzień tygodnia? Odpowiedź: Poniedziałek. Szoferski!

OKAZJA

Zjednoczone Zakłady Urządzeń Jądrowych „POLON” w Warszawie zaprosiły za pośrednictwem „Życia Warszawy” na GIEŁDĘ MATERIAŁÓW ZBĘDNYCH. Po zbędnej podróży ze zbędnych materiałów zbudujemy sobie zbędny reaktor.

KRONIKA TOWARZYSKA

Rada Naukowa i dyrektor Centrum Badań Społecznych Zarządzania Instytutu Organizacji i Kierowania PAN i MNSZWIT w Warszawie podały do publicznej wiadomości, że 26 czerwca 1974 roku odbyła się publiczna dyskusja nad rozprawą doktorską pt. „WIADOMOŚCI O PODWŁADNYCH A SPRAWNOŚĆ DZIAŁANIA KIEROWNIKA”. Czyżby pochwała donosielsstwa?

WSPOMNIENIA KARIN STANEK (4)

TOWARZYSZYŁA MI STARA GITARA...

Towarzyszyła mi oczywiście moja stara, wysłużona gitara z wymalowanymi kwiatami i gwiazdami. Zima była wyjątkowo dokuczliwa, ostry mróz szczyłał w twarz, ręce i nogi, ponadto wysoki śnieg nie pozwalał iść. A ja toniałam w nim w swoich niskich bucikach i cienkich pończoszках. Na domiar złego zabłądziłam w Krakowie i dotarłam na miejsce dopiero, o godzinie dwunastej.



Eliminacje oczywiście już trwały, na szczęście jednak było około 200 kandydatów, więc jeszcze zdążyłam. Wszędzie odbywało się w dużej sali secesyjnej, na której prezentowali się kandydaci, a na widowni siedziała komisja. W jej

skład wchodził między innymi dziennikarz i dyrektor Estrady Szczecińskiej. Nie zdążyłam nawet się ogarnąć, kiedy już musiałam wyjść na scenę. Ręce i nogi miałam zupełnie zesztywniałe z zimna. Ale nie było rady, trzeba było to przezwyciężyć. Ogarnęłam mnie jakieś złośliwe, jedno. Słyszałam kilku wykonawców, śpiewali dobrze, a komisja nie reagowała. Szepotali tylko między sobą i coś notowali. To strasznie śpiewać do widowni, która nie bije braw.

Jedyny akompaniament, to był fortepian. Ale ja przecież miałam swoją gitarę, której widok — notabene — wywołał uśmiech na twarzach szanownych członków komisji. Patrzyli, ubawieni na kwiaty, gwiazdy i zdjęcia Presley'a i Tommy'ego Steele'a, które zdobyły moja gitarę.

Gitara zastąpiła mi zespół, w solówce zrobiłam z niej nawet perkusję. Śpiewałam oczywiście „Hulle-tutulle”. Zapomniałam, że jestem w spódnicy, tańczyłam i szalałam jak w spodniach. Bo przeważnie występowałam w spodniach z uwagi na wygodę w czasie tańca. Tym razem włożyłam spódnice, aby ładnie wyglądać.

Kiedy skończyłam, ze zdziwieniem usłyszałam brawa. Tak, o dziwo, komisja biła brawa. Posypały się pytania: „Co jeszcze? Co jeszcze możecie nam zaśpiewać?”. A więc — „Tutti frutti”.

Kiedy skończyłam, było mi już zupełnie gorąco, wszyscy składali mi gratulacje — nawet młode talenty. Siadłam za kulisami zmę-

czona i szczęśliwa. Tymczasem śpiewali następni. Jedną z kandydatek, występującą po mnie, zaśpiewała „Hulle-tutulle”. Po tym przesłuchaniu wybrano dziesięć osób do galowego koncertu, który miał się odbyć wieczorem w nocy „Wist”. Postanowiłam zaśpiewać inną piosenkę. Wiedziałam już, że ja będę śpiewała, a liczyłam się z tym, że moja konkurentka również wystąpi — nie mogłymiśmy przecież śpiewać tej samej piosenki. Więc po przesłuchaniu poprosiłam o zmianę piosenki i zaproponowałam „Jimmy, Joe”. Rzadko śpiewałam tę piosenkę, nie byłam jej lubiłam, ale nie miałam innego wyjścia. I tak oto tego wieczoru miałam wystąpić po raz pierwszy na galowym koncercie, przy akompaniamentie znanych i podziwianych „Czerwono-Czarnych”. Nie wiem, czy w pełni zdawałam sobie wtedy sprawę z tego, byłam chyba zbyt oszołomiona wypadkami ostatnich dni.

Przygotowanie do koncertu nie zajęło mi zbyt wiele czasu, ponieważ strój miałam na sobie, a kosmetyków nie znalazłam zupełnie. Nadszedł wieczór i czas koncertu. Po przerwie, na początku drugiej części miała nastąpić prezentacja wybranych młodych talentów. Nadeszła kolej na mnie. Hala była wypełniona po brzegi publicznością — postanowiłam ją zdobyć. Rzeczywiście, publiczność nie pozostawała mi zejść ze sceny. Jerzy Kosiński, kierownik zespołu „Czerwono-Czarnych”, zachwycony moim powodzeniem, oświadczył:

— Zrobię z ciebie gwiazdę.

— Ależ nie, nie da rady — odrzekłam na to — ja pracuję.

— To się zwolnisz.

Następnego dnia wróciłam do Bytomia. Powrót do codzienności natychmiast przyćmił wrażenia poprzedniego dnia, odniesione sukcesy wydawały się jakby nierzeczywiste, wyśnione. W pracy patrzono na mnie krzywo, prze-

cież wzięłam znów dwa dni wolne. Kierownik zapytał:

— No i co panno Kasiu?

— Podobalam się — odpowiedziałam spokojnie.

— Taak?

Zaproponowano mi pracę w ze-

— Panie kierowniku, dziś widzi mnie pan w pracy po raz ostatni.

— Panno Kasiu — rzecze na to zdumiony kierownik — ależ to niemożliwe, o czym pani mówi?



spole „Czerwono-Czarnych” i gwarantowano wynagrodzenie miesięczne najmniej 2000 złotych (100 zł od koncertu). Szczerze mówiąc nie wierzyłam tam w Krakowie zapewnieniom kierownika zespołu, a tu okazało się, że mówił prawdę. Zastanawiałam się, długo debatowałam z mamą i w rezultacie razem postanowiliśmy, że jednak nie powinnam tracić szansy, że muszę zaryzykować.

Poszłam rano do pracy z decyzją zakomunikowaną o tym kierownikowi i poprosiłam go o natychmiastowe zwolnienie. Wesołym śmiechem niż zwykle do pokoju kierownika i już od drzwi zaczęłam:

— Wyjeżdżam do Sopotu, mam propozycję. Będę śpiewać.

— Żeby pani tylko nie żałowała.

Wyraził zgodę na zwolnienie natychmiastowe.

Czekano teraz na mnie nowe życie.

Nadszedł czas wyjazdu. Ze łzami w oczach pożegnałam mamę i rodzeństwo. W Katowicach w bezpośredni pociąg do Sopotu wsadził mnie mój chłopak. I tak oto pozostałam sama. Ogarnęły mnie smutne myśli, zaczęłam żałować, że przerwałam pracę, bałam się jutra, którego nie znałam. Nie myślałam wtedy o karierze, nie mogłam sobie jej wyobrazić, myślałam tylko o tym,

że zarobię dużo pieniędzy i będzie mogła pomóc mamie, którą tak bardzo kochałam.

Był to mój pierwszy samotny wyjazd i to tak daleko — aż do Sopotu. Przeraziła mnie ta długa, samotna podróż, ale udawałam dzielną.

Wreszcie o godzinie szóstej rano uciążliwa podróż dobiegła końca i znalazłam się w Sopocie. Odnalazłam hotel „Dworcowy”, w którym miałam się zgłosić. W recepcji długo szukałam mojego nazwiska, wreszcie okazało się, że jest i otrzymałam klucz od pokoju. Nie wiedziałam, co mam robić sama w tym pokoju. Wyszłam więc na przedzie. Na szczęście na korytarzu poznałam mnie kierownika z zespołu i zaprosił mnie do siebie, zrobił kanapkę, poczęstował herbatą. Wyszłam, że jestem trochę przestraszona, zabudowana i nie bardzo wiem, co z sobą począć.

Po pewnym czasie przyszedł również kierownik zespołu. Nie trudno mu było zorientować się, że jestem bez grosza, więc natychmiast wyjął 100 złotych i wręczył mi jako załóżkę. Dostałam kolory z wrażeń i przeżyć, nie chciałam przyjąć takiej sumy, twierdziłam, że wystarczy mi mniej. A zresztą, przecież jeszcze nie zaczęłam pracować, więc nie powinnam brać pieniędzy. No, ale skoro on uważa, że to mi się należy, więc ostatecznie podziękowałam i solennie przyrzekłam, że jak tylko dostanę wypłatę, to natychmiast oddam. Rozmieszyło go to ogromnie, widział dawno nie spoikał się z tak absolutnym brakiem doświadczenia i wręcz niespotykanym szacunkiem dla pieniądza. No, cóż, ja byłam właśnie taka.

(C. d. n.)

Opr. A. KRYSZKIEWICZ

DOM HANDLOWY

Geofil

ZAPRASZA - OFERUJE

DZIEWIARSTWO, KONFEKCJĘ, TKANINY, POŃCZOCHY, SKARPETKI, RAJITUZY, GALANTERIĘ ORAZ ARTYKUŁY GOSPODARSTWA DOMOWEGO, ELEKTRYCZNE, KOSMETYKI, OBUWIE

ulica **ALEKSANDROWSKA 38**



ŻYCZY UDANYCH ZAKUPÓW